ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 1(26) • Styczeń 2008 • Cena 2,00 zł

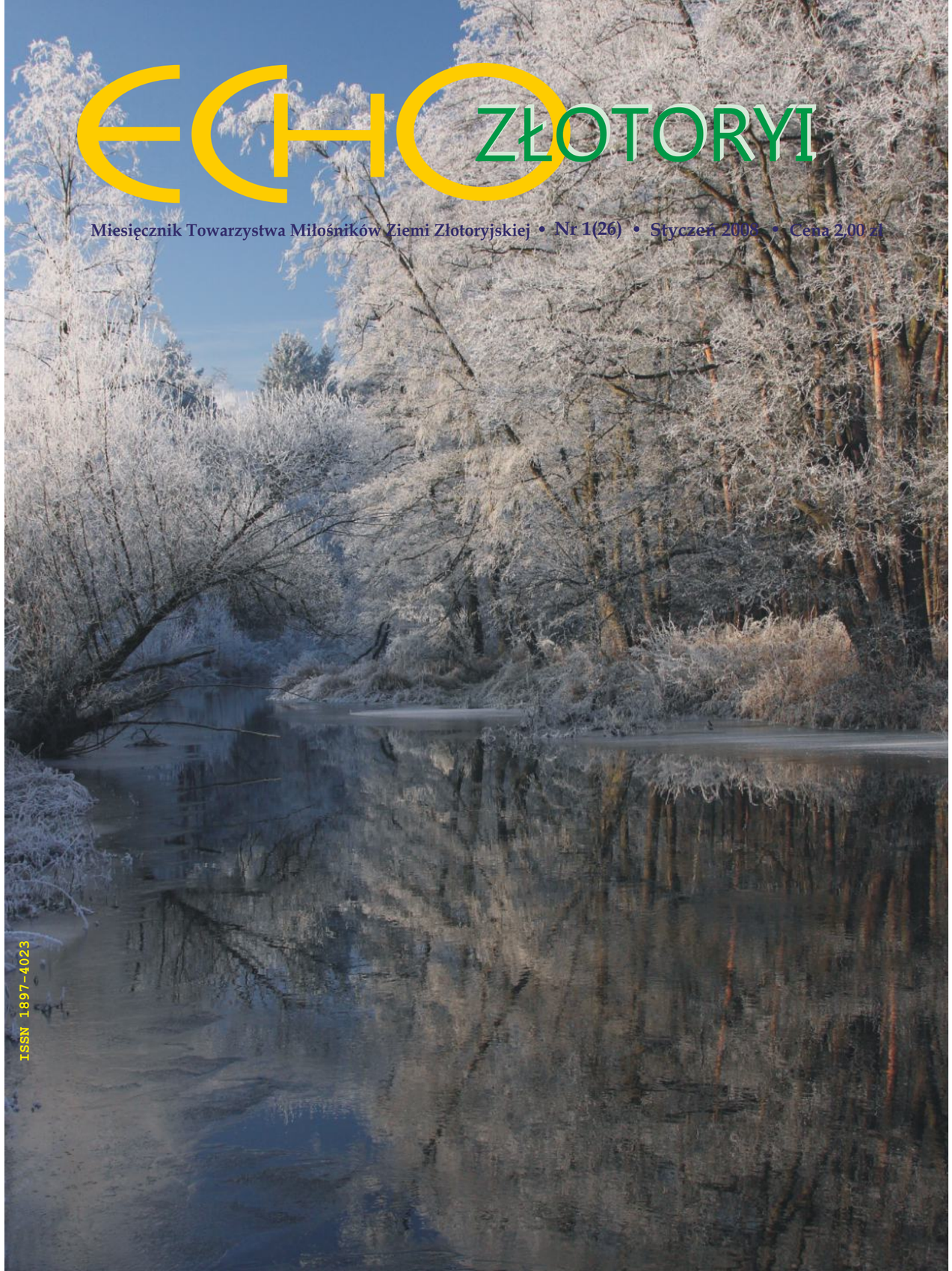

ISSN 1897-4023

Animator

Iwona Pawłowska: Jak to jest, że w jednej z najbardziej zadłużonych gmin (według doniesień „Gazety Wrocławskiej") w województwie dolnośląskim tak prężnie rozwija się kultura?

Zbigniew Mosoń: Najbardziej zadłużonych? Pewnie mamy takie same długi jak i inne gminy. To, co ostatnio ukazało się w prasie, nie jest do końca prawdą. Informacje podane przez gazetę nie uwzględniały wielu czynników. Ale jeśli mówi pani o prężnie rozwijającej się kulturze na terenie naszej gminy, to jest mi bardzo przyjemnie. Myślę, że nasze sukcesy to efekt pracy wielu ludzi oraz przychylności władz samorządowych. Nasi włodarze mają świadomość, że kultura jest ważnym czynnikiem rozwoju (również gospodarczego) regionu. Większość projektów transgranicznych oparliśmy o współpracę kulturalną między partnerami. Wszystkie te projekty dotyczyły podniesienia poziomu życia kulturalnego i rekreacyjnego na terenach wiejskich. Samorząd skierował swe wysiłki na remont bazy. Centrum Kultury dysponuje 10 obiektami, (do tego należy doliczyć baseny, a także kościół św. Jana i Katarzyny oraz wieżę widokową w Podgórkach). Samorząd pomaga w odnowieniu tych budynków, które mamy, ale też i wznoszeniu nowych obiektów. Tak powstało nowe Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Świerzawie, które funkcjonuje od czterech miesięcy.
Innym ważnym czynnikiem są ludzie, moi współpracownicy.

Ja mam już doświadczenia z pracy w Złotoryi. Myślę, że wielu złotoryjan miło wspomina plenerowe Dni Złotoryi, które zainicjowałem: duże, sceniczne, w centrum miasta. Szlify zdobywałem w pracy na rzecz kultury właśnie tam. Będąc szefem Wydziału Promocji, administrowałem środkami na imprezy kulturalne. „Otrzaskałem" się z budżetem samorządu. Mam zatem doświadczenie. Tym bardziej, że skończyłem studia z zakresu Zarządzania Kulturą na UJ i stamtąd czerpałem najlepsze wzorce z najlepszych wielkomiejskich placówek. W Krakowie założyliśmy Stowarzyszenie Menadżerów Organizatorów Kultury (SMOK), które skupia szefów placówek kulturalnych.

Kiedy zacząłem pracować w Świerzawie, musiałem przekonać ludzi do nowej formuły pracy, do tego, że każdy weekend jesteśmy zaangażowani. Ja sam nie biorę urlopu od kilku lat w sezonie, bo ciągle organizujemy jakieś imprezy. Niektórzy z moich pracowników (i ja sam) zaczynają traktować pracę jako hobby, a to już jest niebezpieczne, bo zatraca się rozdzielność życia prywatnego i służbowego. Trzecim czynnikiem, dzięki któremu mamy takie efekty, jest lokalny patriotyzm. Mamy świadomość wartości naszych terenów i tego, co posiadamy. We mnie obudził się on przez miłość do kościoła św. Jana i Katarzyny. Wraz z grupą kilkunastu wolontariuszy (Orkiestra Radosnych Serc) otworzyłem go dla turystów. Musieliśmy jeszcze nauczyć ludzi korzystania z kultury, między innymi przez zapraszanie ich do udziału w imprezach organizowanych w kościele św. Jana i Katarzyny. Tak naprawdę w ludziach trzeba tylko obudzić poczucie organizatorskie, dalej już inicjatywę przejmują sami mieszkańcy. My tylko dajemy sygnał, podpowiedź.

Tak stało się i w Lubiechowej, gdzie zorganizowano Złot Kobiet Czarujących (pomysł KGW) czy w Sędziszowej, gdzie od pięciu lat w pierwszy dzień lata puszcza się wianki pod Wieliswławką (inicjatywa lokalnych działaczy). Kiedy to przynosi efekt, ludzie widzą, że jest sens robienia czegoś nowego.

Na ostatniej sesji, podczas głosowania nad statutem,wszyscy radni opowiedzieli się za kierunkiem, w jakim działa nasze Centrum. Jest to dowód na akceptację naszej pracy. Mamy świadectwo, że zostaliśmy docenieni. Ale wiadomo, że nigdy nie zadowolimy wszystkich. Bazując na budżecie, w którym nie ma ani złotówki na imprezy (poza 4 tys. złotych na animację kultury na wsi), robimy jednak imprezy, które kosztują kilkadziesiąt tysięcy złotych.

I. P.: Jak pozyskuje się środki na działania kulturalne?

To są pieniądze pozyskiwane przede wszystkim z projektów transgranicznych. Dzięki temu uzyskaliśmy około 150 tysięcy złotych. Niedawno mieliśmy kontrolę oceniającą realizację projektu „Transgraniczna Turystyka Edukacyjno-Kulturowa w gminie Świerzawa". Okazało się, że piszemy i realizujemy wzorcowe, bezbłędne projekty. Otrzymaliśmy nawet propozycję, by opisać w niemieckiej prasie nasze przedsięwzięcie, gdyż zostało uznane za najciekawsze na Dolnym Śląsku.

Muszę przyznać, że projektami zajmuję się sam, ale dokumentację projektową prowadzi Magda Figa. Jej działania zostały również na tyle docenione, że Urząd Marszałkowski zaproponował Magdzie prowadzenie szkoleń dla innych podmiotów, które nie radzą sobie z dokumentacją projektową, czyli rozliczeniami (kartami pracy, dokumentacją zdawczo- odbiorczą, protokołami). Praktycznie nasze działanie polega na tym, że siadamy, robimy burzę mózgów, wymyślamy tematy, projekty. Właśnie teraz kończę pracę nad harmonogramem projektu „Dolny Śląsk. Średniowiecze trzech narodów. Festiwal historyczny w kościele św. Jana i Katarzyny". Z Urzędu Marszałkowskiego dostaliśmy w ubiegłym roku już 20 tysięcy na wydanie katalogu zabytków kościoła i 9 tys. na system monitoringu zabytku.

Jeśli chodzi o koncepcję budżetową, to bazuję tu na doświadczeniach Małopolskiego Instytutu Kultury. W tej placówce dyrektorowi udało się zejść z budżetu samorządowego z 4 do 2 milionów złotych i poprowadzić Instytut, który upadał. Placówka rozwija się teraz tylko w oparciu o projekty. Taki system wprowadzam w Świerzawie. Dotacja samorządowa ma służyć tylko na utrzymanie budynku i na płace dla 18 pracowników. Na działania kulturalne muszę pozyskać środki z projektów. Owszem, liczę też na wsparcie samorządu w sytuacjach, kiedy przy projekcie potrzebny jest wkład własny.

I. P: Które z przedsięwzięć wydawało się najtrudniejsze lub niemożliwe do realizacji, przyniosło nieoczekiwanie wspaniały efekt?

Z. M: Takim działaniem był rozwój turystyczny gminy. Jakieś 11 lat temu, kiedy zostałem po raz pierwszy radnym, zorganizowałem spotkanie w sprawie agroturystyki, czyli alternatywnych źródeł zarobkowania na wsi. Wtedy na terenie gminy były 3 gospodarstwa takiego typu, teraz mamy 10 punktów noclegowych. A więc nastąpił niesamowity rozwój agroturystyki. Właściciele tych gospodarstw mogą liczyć na nasze wsparcie. Może nie finansowe, ale merytoryczne. Możemy dać im promocję i edukację. W ramach projektu zorganizowaliśmy kurs małego biznesu, języka niemieckiego, zasad kontaktu z turystami.
Po ilości sprzedanych biletów w kościele św. Jana i Katarzyny można stwierdzić, że ruch turystyczny zdecydowanie się zwiększył. W pierwszym roku funkcjonowania sprzedaliśmy 400 biletów, teraz ponad 1000. Pojawili się tu nawet Czesi.

W ramach odnowy wsi powstają ciekawe przedsięwzięcia. Tworzy się nowe atrakcje dla turystów. Na przykład w Podgórkach zrekonstruowano średniowieczny kościół, odgruzowano nawę. Odbudowano wieżę zniszczoną w XIX wieku i nadano jej formułę widokowej. Wokół Wielisławki wysprzątano teren i dzięki zaangażowaniu Nadleśnictwa złotoryjskiego powstała ścieżka dydaktyczna. Przybywa też ścieżek rowerowych. Gmina naprawdę pod tym względem rozwija się i to mnie cieszy. Brakuje nam niestety jeszcze bazy gastronomicznej. Ludzie, którzy nocują w agroturystykach, mają gdzie jeść, ale inny turyści już nie. Nie ma zajazdów, restauracji…

I. P: W gminie organizuje się wiele wspaniałych, bogatych tematycznie imprez. Wspomniał Pan o Zlocie Kobiet Czarujących, Wiankach pod Wielisławką. Słyszałam o Zaduszkach poetyckich… Jakim zainteresowaniem cieszą się te przedsięwzięcia wśród mieszkańców? Naprawdę chętnie biorą w nich udział?

Z. M: Tak. W tym roku na przykład nie odbyło się Święto Pieczonego Ziemniaka w Starej Kraśnicy. I to spotkało się z reakcją mieszkańców Świerzawy, których zaniepokoił fakt odwołania imprezy. Świerzawianie przyzwyczaili się do tego święta i zdecydowanie im go zabrakło. Na Zlocie Kobiet Czarujących w Lubiechowej na 600 uczestników, tylko 100 osób to mieszkańcy tej wsi. Cała reszta to przyjezdni, w tym mieszkańcy Świerzawy. Ludzie szukają właśnie takiej formy spędzania wolnego czasu, jaką im możemy zaproponować. My specjalizujemy się w imprezach plenerowych, ale nie w zabudowie miejskiej. Raczej na wsi, na łąkach, przy lesie. Ludzie wtedy czują się bardziej swobodnie i to im się podoba.

I. P: Które z tych imprez chciałby Pan uczynić wizytówką Świerzawy?

Z. M: Przede wszystkim Noc Kabaretową. To ma być wizytówka Świerzawy. Nie tylko dlatego, że Romek Żurek, twórca Neonówki jest ze Świerzawy. On wymyślił formułę Nocy Kabaretowej. I to już jest marka. Już teraz dzwonią do mnie menadżerowie kabaretowi i pytają, czy ich zespoły mogą wystąpić w Świerzawie podczas tej imprezy. Mnie nie stać na koncert gwiazdy za 20 tys. Wolę postawić na dwa dobre kabarety za 6 tys., które dzięki pomocy Romka mogę tu ściągnąć. Ostatnio występował tu „Kabaret Skeczów Męczących". Andrzej Łagoda, były mieszkaniec naszego miasta, który ma firmę renowacji zabytków, obiecał mi pieniądze na pokrycie części kosztów występu Krzysztofa Daukszewicza. I to będzie gwóźdź programu V Świerzawskiej Nocy Kabaretowej. Druga imprezą - wizytówką mogłyby być koncerty w kościele św. Jana i Katarzyny. Zaczynaliśmy od kameralnych Zaduszek Poetyckich. Teraz mamy już deklaracje występu nawet samego Krzesimira Dębskiego. Muzyka grana w naszym kościele jest specyficzna, klasyczna i mimo takiego ciężaru gatunkowego mamy już wielu słuchaczy. Niech się ludziom w Polsce kojarzy, że takie imprezy są Świerzawie.

I. P: Skoro tak dużo się dzieje na niwie kultury, to dlaczego miasteczko ciągle postrzegane jest jako senne? Szczególnie jest to widoczne w porze wieczornej.

Z. M: To samo możemy powiedzieć o Złotoryi czy Jeleniej Górze. Jelenia stałą się sypialnią. W rynku w ciągu tygodnia nie dzieje się nic, chyba, że jest jakieś wydarzenie koncertowe. Taki jest teraz charakter życia. Jednak senność Świerzawy jest wrażeniem pozornym. Wiadomo, że imprez plenerowych nie można robić codziennie, ale w naszym Centrum Kultury życie toczy się intensywnie. Skupiamy się przede wszystkim na najmłodszych. Oferujemy im zajęcia plastyczne, zabawy, spotkania z książką, ze zwierzętami. Gorzej jest z młodzieżą. Nastolatków jest teraz trudniej czymkolwiek zainteresować, odciągnąć od komputera. Tu działamy przez sport. Proponujemy młodym ludziom zawody sportowe, aktywność fizyczną. Sam odpowiadam między innymi za organizację ogólnopolskich zawodów Enduro oraz gram z młodzieżą w siatkówkę. To wrażenie senności Świerzawy spotęgował exodus młodzieży za granicę. Jednak małe miasteczka nigdy nie tętnią życiem tak, jak wielkie aglomeracje. Jednym to odpowiada, innym nie, a wtedy stąd uciekają .

I. P: Niedawno oddano do użytku nowe centrum kultury. Dlaczego nie zrobiono w nim sali kinowej?

Z. M: To jest zbyt mała miejscowość, by utrzymać kino z biletów. Poza tym nikt nie dałby pieniędzy na zrekonstruowanie kina w budynku, który zatracił przed laty swoją funkcję kinową. Kolejne przekształcenie budynku spowodowało, że wywieziono stąd cały sprzęt do projekcji, przebudowano wnętrze...
Znam też kulisy dystrybucji filmów. Zanim nowość dotrze do małego miasteczka, można już kupić ten film na DVD. Kto by przyszedł w Świerzawie do kina? Imprezy płatne w naszym miasteczku nie są dobrym pomysłem.

I. P: Niewątpliwym skarbem Świerzawy jest kościół św. Jana i Katarzyny. Jak jeszcze można by było wykorzystać jego istnienie dla promocji gminy? Zastanawiam się, jak można zagospodarować zaniedbany teren przykościelny. Jaki los spotka resztki tablic nagrobnych leżących bezładnie nieopodal kościoła?

Z. M: Kościół wymaga strategii swojego rozwoju. Nad tym teraz się skupiam. Wykorzystanie zabytku nie może polegać na tym, że otwiera się go od czasu do czasu zwiedzającym. Trzeba nadać mu jakiś konkretny charakter. Najpierw myślę o zagospodarowaniu terenu przykościelnego. Mając takie bogactwo elementów kamiennych (epitafia, tablice, elementy dekoracyjne, produkty z kamieniołomów), myślę o stworzeniu lapidarium. Myślę też, żeby wykorzystać walory romańskie budowli. To ma być świadectwo bogactwa średniowiecza. Wbrew pozorom średniowiecze nie było epoką mroczną, życie kulturalne wtedy kwitło powstawały obrazy, książki i architektura. W okolicy mamy wiele przykładów budownictwa średniowiecznego, szczególnie romańskiego.

Moja koncepcja wymaga jeszcze wielu inwestycji. Planuję doświetlenie malowideł w kościele, stworzenie scenografii informującej o życiu codziennym w średniowieczu, dodruk materiałów o działalności intelektualnej na tym terenie. Myślę, by stworzyć tu muzeum regionalne ze szczególnym uwzględnieniem życia miejskiego. Natomiast wówczas w Podgórkach w wieży widokowej umieściliby śmy ekspozycję dotyczącą życia na wsi w dawnych wiekach. W ten sposób powstałby skansen. By nadać właściwy, niemal pierwotny charakter kościołowi, planujemy również stworzyć replikę ołtarza z XV wieku (oryginał obecnie w kościele św. Marcina w Poznaniu), reprodukcję świerzawskiego „Tronu łaski" z XIV wieku (oryginał w Muzeum Narodowym we Wrocławiu) czy wypożyczyć relikwiarz z Muzeum Regionalnego w Jeleniej Górze To wszystko jednak wymaga dużego wkładu własnego.

I. P: Podziwiam Świerzawę za atrakcyjne wizualnie i merytorycznie wydawnictwa promujące miasto i gminę. Proszę powiedzieć innym animatorom kultury i samorządowcom, jak to się robi, jak uzyskać taki efekt?

Z. M: My opieramy się na fachowcach. Nie zlecamy tego na przykład urzędnikom. Owszem, oni powinni czuwać nad całością, ale pod względem merytorycznym (historycznym, geograficznym czy architektonicznym) nie mają tyle wiedzy, by tworzyć przewodniki lub foldery. Kiedy robiliśmy katalog malowideł kościelnych, zleciliśmy opiekę nad wydawnictwem profesorowi Kosakowskiemu. Bez wstydu zatem mogę taką książkę pokazać ludziom. Nasze publikacje muszą być rzetelne. Często przechodzą kilka redakcji, korekt. Dlaczego publikacje TMZZ są super? Bo robią je fachowcy.

I. P: Czy to prawda, że Pan sam redaguje serwis internetowy Świerzawy?

Z. M: Tak, sam. Co rano poświęcam ok. 2 godzin na aktualizacje serwisu (jeśli są materiały). Jeżdżę z aparatem, robię zdjęcia. Gdy się coś dzieje, zwykle do mnie dzwonią (taką współpracę mam np. ze strażakami). Nasza strona nie jest tubą informacyjną Urzędu Miasta. To raczej informator o tym, co dzieje się w okolicy. Czasem bywa to tylko ogłoszenie, że zaginął pies.

I. P: Nie kusi Pana, by porzucić Świerzawę i działać na większej przestrzeni?

Z. M: Pojawiło się kilka propozycji. Najnowsza to praca w ogólnopolskiej rozgłośni radiowej i praca nad trasami koncertowymi zespołów. Ale nie skusiłem się. Jestem tu i trwam na posterunku (zarabiając 2 tysiące). Na razie nie planuję zmian. Mam przecież jeszcze kilka pomysłów, które w Świerzawie chcę wprowadzić w życie. Poza tym stworzyliśmy tu zgrany zespół i nielojalnie byłoby go opuszczać. Chyba, że propozycja nowej pracy pozwalałaby na chociaż częściowy udział w rozwoju kulturalnym gminy. W momencie dotarcia do rąk czytelników niniejszej publikacji wszystko będzie jasne...

I. P: Dziękuję za rozmowę

rozmawiała Iwona Pawłowska

Małe podsumowanie

Gdy ponad rok temu, padła propozycja wznowienia "Echa Złotoryi" - nawet "Ojcowie Założyciele" TMZZ nie dawali chyba wiary, że ukażą się więcej niż trzy - cztery numery. Nie dziwię się im - sam bym na to fortuny nie postawił. Dzisiaj, biorąc do ręki dwanaście zeszytów naszego miesięcznika, czuję na pewno dużą satysfakcję, ale również nie mogę odpędzić od siebie pytania: czy to ma sens?

Z jednej strony mamy swoich stałych czytelników - ba, są tacy, którzy zanim się ze mną przywitają, pytają , kiedy ukaże się następny numer? Z drugiej jednak strony- ma radość tworzenia, sprowadzana jest częstokroć na ziemię, gdy okazuje się, że wielu ludzi przechodzi z zupełną obojętnością (co mogę jeszcze zrozumieć), albo wręcz z wrogością.

Jak rok temu, tak i dzisiaj chcemy, by nasze pismo było spoiwem, które łączy mieszkańców Ziemi Złotoryjskiej i śmiem twierdzić, że nam się to w pewnej mierze udaje. Chcemy sięgać głębiej w istotę rzeczy, pokazywać wydarzenia, a nie tylko odnotowywać, że coś się zdarzyło. Chcemy pokazywać ludzi, którzy coś znaczą dla naszego regionu, ale również takich , o których istnieniu mało kto wie.

Wraca pytanie: czy to jest potrzebne? Odnoszę wrażenie, że im dalej od Złotoryi, tym potrzeba wydawania takiego pisma jest bardziej zrozumiała, ale może to tylko moje wrażenie?

Nie wszystko nam się udaje. Na realizację wszystkich pomysłów nie starcza czasu a także zapału. Ale przecież dwanaście numerów, to ponad 500 stron maszynopisu - prawie książka...

Korzystając z okazji dziękuję wszystkim , dzięki którym "Echo Złotoryi" się ukazuje. Zespołowi redakcyjnemu, który znosi cierpliwie (?) mniej lub bardzie udane pomysły naczelnego. Po wtóre -Zarządowi TMZZ, który wydeptuje ścieżki u sponsorów, aby pozyskać środki na kolejne numery. Po trzecie - naszym sponsorom, którzy uwierzyli w sens wspierania tej inicjatywy. I wreszcie - tym najważniejszym - naszym czytelnikom, bo bez nich to wszystko nie miałoby najmniejszego sensu.

Robert Pawłowski

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
Kolegia redakcyjne odbywają się w każdy Poniedziałek o godzinie 17.00 w siedzibie TMZZ.
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska, Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta). Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski.

Doktor ze Lwowa

Andrzej Wolańczyk urodził się we Lwowie 23.11.1927 roku , zmarł 15.03.1985 r. w Złotoryi. Był trzecim, najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Miał dwie siostry. Ojciec Marian ukończył studia filozoficzne - był jednym z założycieli Akademii Medycznej w Zabrzu-Rokitnicy oraz dyrektorem biblioteki Akademii Medycznej i prezesem Towarzystwa "Sokół" na Małopolskę.*W takiej atmosferze wzrastał pan Andrzej.

W 1950 rozpoczął studia na Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu. Z powodzeniem ukończył je w 1955. Po dwuletniej służbie wojskowej w Gliwickim szpitalu otrzymał stopień kapitana, w stanie spoczynku mianowano go na majora.
Swoją pracę zawodową rozpoczął na Górnym Śląsku w Klinice Ginekologiczno-Położniczej.W Klinice w Bytomiu zdobył I i II stopień specjalizacji w kierunku ginekologii i położnictwie.

Jana K:ałuża: Mąż pani urodził się we Lwowie, czy często wspominał Lwów?

MariaWolańczyk: Często opowiadał o życiu lwowiaków. Ojciec Andrzeja podczas wojny za bimber, za wódkę przeszmuglował swoje własne książki, przewiózł je do Bytomia, nie rozpakowywał ich z myślą, że wróci na swoje ziemie. Był autorem wielu książek o Lwowie, napisał „O obrońcach Lwowa", otrzymał medal „Za obronę Lwowa" - *Pani Maria z dumą opowiada :*
Podczas pogrzebu teścia prawie wszyscy lwowiacy się zjechali do Bytomia, aby pożegnać swojego kolegę, ludzi było tak dużo, jak na pochodzie pierwszomajowym. Było to spotkanie Lwowa. Lwowiacy na ziemiach polskich kultywowali swoje tradycje. Dr Pawłowski z Chojnowa, przyjaciel rodziny, organizował spotkania, mąż uwielbiał je. Wchodzili w klimat uliczek lwowskich, piosenek, kawałów, arii - to wiem z opowiadań Andrzeja, ja nie jeździłam na nie.

J.K.: *Jak zaczęła się wasza wspólna historia?*

Maria Wolańczyk: Pracowałam w katowickim szpitalu, byłam kierownikiem pogotowia ratunkowego. Na dyżurach spotykałam młodego lekarza. Był przystojnym blondynem o niebieskich oczach. A jak śpiewał arie... Głos miał piękny, serce się radowało, gdy słuchało się Andrzeja. Pobraliśmy się. W 1963 r. na świat przyszedł nasz syn Tomasz. Był dzieckiem bardzo chorowitym, miał astmę. Górny Śląsk był bardzo zapylony. Musieliśmy zmienić dziecku klimat.

J.K: Pani Mario, mieszkaliście na Górnym Śląsku. Dlaczego przyjechaliście na Dolny Śląsk?

M.W: Złotoryję znaliśmy z opowiadań siostry Andrzeja, która była dyrektorem Banku Śląskiego, a w Złotoryi zakładała filię. Ponadto lwowiacy po wojnie osiedlali się w Zabrzu, Bytomiu, we Wrocławiu. Mąż miał z czasów studenckich wielu przyjaciół na Dolnym Śląsku, dlatego wybór był łatwy. Dziecko przestało chorować... ponadto mąż wygrał konkurs na ordynatora oddziału Ginekologiczno-Położniczego w złotoryjskim Szpitalu przy ulicy Szpitalnej. 16. listopada 1964r. rozpoczął pracę.

J.K. Jakim człowiekiem był Pani mąż?

M.W: Był bardzo kochany, porządny, dowcipny. Jak miałam zły dzień, on rozbrajał mnie humorem, kapitalnie opowiadał lwowskie kawały, był specem od kawałów. A gdy on był zły, nucił sobie pod nosem melodie.
Kiedy się mieszka na Górnym Śląsku, trzeba zmienić powietrze, dlatego na każdy weekend wyjeżdżaliśmy do Szczyrku, do Wisły na narty, mąż fantastycznie jeździł na nartach, ja tylko trochę. Cały rok pracowaliśmy, ale na cały miesiąc zabieraliśmy namiot, konserwy, śpiwory i wyjeżdżaliśmy za granicę. Pasjonowała nas Grecja. Role mieliśmy podzielone: my zwiedzaliśmy miasto, a Tomek (syn) muzea. Andrzej dobrze gotował, a jeszcze lepiej pakował rzeczy do samochodu, ja połowy rzeczy bym nie spakowała a on robił to idealnie - *śmieje się pani Maria*
Naszym konikiem była gra w brydża, potrafiliśmy grać nawet trzy dni.

JK Czy pani jeszcze grywa w brydża?

M.W: O tak lubię brydż. Spotykam się z koleżankami i gramy

J.K: Mąż był dumny z syna?

M.W: Andrzej uwielbiał Tomeczka... Maleńkiego kąpał, karmił, przebierał. Tomek był bardzo dobrym dzieckiem, przynosił nam same radości. Pamiętam, jak Tomek został laureatem Olimpiady, byliśmy w Warszawie. Zadzwoniłam do męża, aby go powiadomić, on w tym czasie operował, jednak tak się wzruszył, że nie dokończył cięcia, a w domu powiedział mi, żebym takich rzeczy mu nie mówiła, bo on nie może się skupić. Oboje byliśmy dumni z naszego syna. W Liceum Ogólnokształcącym był laureatem dwóch olimpiad, w Legnicy zdobył „Złotą Sowę". Akademię Medyczną we Wrocławiu ukończył z wyróżnieniem. Jako jeden z pięciu studentów otrzymał Dyplom Najzdolniejszego Studenta Polski Ludowej. To dawało mu pierwszeństwo wyboru Kliniki na terenie całej Polski. Wybrał Klinikę Psychiatrii i Neurologii Dziecięcej w Warszawie. Obecnie jest Kierownikiem Kliniki Psychiatrii i Neurologii Dziecięcej. Uzyskał tytuł Profesora doktora habilitowanego. Napisał podręcznik Psychiatrii dla studentów, pisze poradniki dla rodziców. Reżyserował również przedstawienie pt.: "Chrabąszcz" wystawiane w Warszawie. Szkoda, że mąż tego nie widzi.

JK: Pan Andrzej spłodził syna - czy wybudował dom i posadził drzewo?

M.W: Domem jego był szpital, który współtworzył, a drzew posadził bardzo wiele. Pamiętam jak przyjechaliśmy w 1963 r. szpital był ciasny, drewniany, a potrzeby pacjentów wciąż rosły. Chciał wybudować nowocześniejszy szpital. Na szczeblu wojewódzkim podjęto decyzję o budowie szpitala na miarę dwudziestego wieku. Andrzej został dyrektorem i nadzorował budowę nowego szpitala. Poświęcił swoje zdrowie, każdą rzecz trzeba było zdobywać, nawet swój samochód traktował jak bagażówkę, przewożąc całe oddziały, naprawdę było ciężko, budował go niczym własny dom.

JK: jak wyglądały w waszym domu święta, sylwester?

M.W: Święta obchodziliśmy rodzinnie, albo Górny Śląsk przyjeżdżał do nas tj. mama, teściowa, albo my jechaliśmy do nich. Andrzej lubił gotować, więc przygotowywał święta, a ja zajmowałam się porządkami. Byliśmy bardzo zżyci. A sylwester to cała historia...(śmiech) ja wymalowana, pięknie ubrana, włosy ułożone, gotowa do wyjścia, a mąż tylko na chwileczkę zajrzał do szpitala... i wrócił o 2.00. Ale były też udane sylwestry.

JK:Czy mąż pamiętał o rocznicach, imieninach?

M.W: Zawsze pamiętał, razem z synem umawiali się, żeby robić mi niespodziankę-prezent. Ależ to było przyjemne... - *śmiech*

JK: Czy w pracy miewał trudności?

M.W: Drażniły go układy polityczne, nadzory partyjne. W jego otoczeniu byli ludzie, którzy to.. „Uprzejmie donoszę, że obywatel A.W...". Trzeba było uważać!

JK: Jaki na co dzień był doktor?

MW: Potrafił siedzieć przed telewizorem i mówił do mnie - „wiesz, coś mi się ta pacjentka nie podoba" - wsiadał do samochodu i znikał na kilka godzin. Ile razy tak było. Każdego wieczoru na krześle miał przygotowane ubranie, żeby w razie konieczności w ciągu kilku minut trafić z pomocą do szpitala. Mąż był w ciągłym napięciu można by rzec, że się wypalił.

J.K: Nie ma na ziemi lekarza, który ma tylko osiągnięcia, są również potknięcia, złe rozpoznania.

Na szczęście trafnych rozpoznań jest więcej. Rodzinę Wolańczyków łączy wspólna pasja. Zdrowie dzieci. Doktor Andrzej Wolańczyk pomagał przyjść dzieciom na świat, doktor Maria roztaczała opiekę nad noworodkami, mając niesamowite wyczucie ich stanu zdrowia.

Pielęgniarki pracujące z panią doktor opowiadają, że nie odpuściła żadnej chorobie. Można by rzec, że dzieci w Jej rękach były i są bezpieczne. Doktor Tomasz Wolańczyk zajmuje się tymi większymi, całe jego poświęcenie oddają słowa dyplomu „Parasol szczęścia" w kategorii Zdrowie: "Dla prof. dr hab. Tomasza Wolańczyka w uznaniu za wytrwałość w walce o prawo dzieci z ADHD do szczęśliwego dzieciństwa oraz za serdeczną opiekę nad małym pacjentem, który pomaga im odzyskać wiarę w siebie."

Od 1995 r Szpital przy ulicy Hożej nosi imię Andrzeja Wolańczyka.
„.Rzadko się zdarza, aby człowiek, dyrektor i lekarz jednocześnie został patronem szpitala. Przyjechał do Złotoryi na chwilę, a został na wieczność. Pamięć o Andrzeju Wolańczyku nie zginie" - takie słowa na uroczystości nadania imienia wypowiedział jego przyjaciel lekarz wojewódzki, Jerzy Turzański.
Doktor Wolańczyk został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia oraz Złotym Krzyżem Zasługi.36 lat życia oddał społeczeństwu złotoryjskiemu, z pasją i poświęceniem.

J.K Dziękuję Pani Doktor za wspomnienia, życzę Pani powodzenia i dużo zdrowia.

Z panią dr Marią Wolańczyk rozmawiała Jana Kałuża

** Sokół - paramilitarna organizacja młodzieżowa; pierwsze koło (tzw. gniazdo) "S" założyła w 1867 we Lwowie grupa byłych uczestników Powstania Styczniowego. Po I wojnie światowej organizacje "S" z trzech zaborów połączyły się. /Popularna Encyklopedia Powszechna/*

Doktor Wolańczyk we wspomnieniach.

Położna K.P.
JK: Jakim szefem był doktor Wolańczyk?
Jako szef był sprawiedliwy, umiał rozwiązywać problemy personalne, stanowczo obstawał przy swojej decyzji, dla mnie był autorytetem jako fachowiec i jako człowiek, humorem zarażał innych.
JK: Czy miał swoje powiedzonka?
KP: Jeszcze dzisiaj w uszach mi brzmi „kocie" - tak zwracał się do pacjentek, a słowami „mieńdźiutki brzuszek", pieszczotliwie mówił o brzuchach pacjentek.

Pacjentka Jadwiga K.
JK: Rodziła Pani na oddziale położniczym, jak Pani to wspomina?
Kiedy urodziłam swojego syna, okazało się, że ma ropne oczka. Przeniesiono mnie na oddział septyczny, chroniąc inne noworodki. Byłam tam zupełnie sama za szklanymi drzwiami, ze zleceniami przychodziła położna i znikała. Jednak najbardziej czekałam na wizyty lekarskie, pan doktor przychodził z uśmiechem, żartem i ciepłym słowem. Słyszałam - „kocie nie martw się, masz ślicznego chłopca, jeszcze tańczyć będziemy na jego weselu". Obawy jakby mijały.

Pacjentka Krystyna P..
JK: Pani Krysiu, jak opiekował się Panią dr Wolańczyk w trudnych chwilach ?
Miałam problem z piersią, zwróciłam się do lekarza ginekologa. Rozpoznanie brzmiało „guzek piersi". Chciało mi się płakać. W latach 80 to brzmiało jak wyrok. Bałam się tym bardziej, że urodziłam malutką córeczkę. Z pomocą przyszedł mi dr Wolańczyk. Pokierował mnie do Kliniki we Wrocławiu, do profesora, który zajął się mną bardzo troskliwie. Dzisiaj mam 45 lat i dziękuję Bogu, że takiego lekarza spotkałam na swej drodze.

Muszę się trochę śpieszyć

Alek z Szymonem Majewskim - w Klinice

Kiedy przyszłam na spotkanie, w progu przywitał mnie uśmiechem Alek - wysoki mężczyzna. Pod nogami plątał się nam mały pinczerek, nowa maskotka domu. Alek jest osiemnastolatkiem. Chodzi do Technikum Informatycznego w Złotoryi. Pisze programy informatyczne, lubi przedmioty zawodowe: oprogramowanie biurowe, systemy operacyjne, sieci komputerowe. Ten młody mężczyzna w zeszłym roku zachorował na bardzo poważną chorobę nowotworową. Trafił na leczenie do Kliniki Hematologicznej we Wrocławiu. Ciężkie chwile pomagają mu przetrwać wspaniali rodzice, na których może liczyć w każdej chwili.

O chorobie Alka dowiedzieliśmy się przypadkiem, i był to dla nas wstrząs. W trakcie wizyty lekarz wyjaśnił nam, że leczenie trwa rok albo dłużej - wszystko zależy od organi-zmu. Po zakończeniu leczenia następuje 5 letnia obserwacja. Wspólnie rozpoczęliśmy walkę z chorobą. Klinika stała się dla Alka drugim domem a lekarze - rodziną zastępczą. Zaufaliśmy lekarzom i razem z nimi stworzyliśmy jak najlepsze warunki, aby czas mijał spokojnie i bez stresu, o ile to w ogóle możliwe. Staraliśmy się nie zamykać w sobie, bardzo dużo rozmawia-liśmy... - mówi mama Alka, pani Regina Krupa.

Alku jak się czujesz?
Chyba nieźle, skoro się wybieram do szkoły po feriach. Moja klasa ma teraz praktykę, ja nadrabiam zaległy materiał
Bywały też ciężkie chwile?
Strasznie przeżywałem kroplówki, czułem się po nich tragicznie. Było mi niedobrze, miałem zapalenie żył... Och, jak te ręce mnie bolały. Potem założyli mi „browiaka" czyli stały łącznik z żyłą do podłączania kroplówek. Przynajmniej oszczędzili mi żyły na rękach. Potem tomograf i opinia lekarza „choroba się nie cofa" - następne kroplówki z cytostatykami, następny tomograf i znowu decyzja lekarza... Personel lekarski i pielęgniarski walczy o każde życie z poświęceniem.
Wrocławski ośrodek onkologii i hematologii dziecięcej należy do najlepszych w kraju. To ogromna zasługa już nieżyjącej Janiny Jaworskiej-Bogusławskiej. Obecnie kierownikiem jest prof. dr hab. Alicja Chybicka. Placówka jest wyposażona w nowoczesną aparaturę diagnostyczną i leczniczą. Jednak na początku, pielęgnacja „browiaka" sprawiała duży problem. Raz w tygodniu trzeba było go przepłukiwać i utrzymać jałowość. Najpierw przychodziła pielęgniarka, ale teraz sama sobie radzę. Mimo wszystko, wolę to, niż zapalenie żył i cierpienie, jakie przeżywał Alek. On i tak jest cierpliwy...- chwali Alka mama.
A jak z nauką Alka?
Alek ma indywidualne nauczanie. Szkoła ma pozytywne nastawienie do ucznia w potrzebie. Nikt nas nie zbywał - wprost przeciwnie, zawsze nam pomagali jak mogli. Muszę podziękować pani Jaremko, wychowawczyni Alka, która bardzo się zaangażowała. Nie można nie docenić młodzieży, która organizuje akcje, zbiórki pieniędzy na leczenie, sprzedając np. ciasto upieczone przez siebie lub rodziców - wzrusza się Pani Regina. Wiedziałem, że mogę liczyć na nauczycieli, na moje koleżanki i kolegów. Jestem im za to ogromnie wdzięczny, dodaje Alek
Informatyka to Twoja jedyna pasja?
Drugą pasją jest motoryzacja - motocykle, samochody, skutery. Godzinami mogę rozmawiać na te tematy. Na skuterze jeżdżę od trzech lat. Teraz marzy mi się motor i samochód.
Może trochę więcej powiesz mi o swoim marzeniu.
.Zaczęło się w klinice. Podczas spełniania marzenia jednego dziecka, podeszła do mnie pani z Fundacji i zapytała: „Czy jesteś jeszcze dzieckiem?". Nie miałem 18 lat. (śmiech)
„Chciałbyś, żeby spełniło Ci się marzenie?" – pytała dalej. Tak - odpowiedziałem z zachwytem. Tak bardzo chciałem zrobić prawo jazdy na motor i samochód.
Fundacja „Mam Marzenie" została zainspirowana spełnieniem ostatniego życzenia Chrisa Greciusa, którego śmierć stała się początkiem światowego ruchu spełnienia marzeń chorych dzieci cierpiących na choroby zagrażające ich życiu. Przez swoją działalność fundacja chce dostarczyć chorym dzieciom i ich rodzinom niezapomnianych wrażeń, które wniosą w ich życie radość, siłę do walki z chorobą i nadzieję na przyszłość.
W klinice we Wrocławiu marzenia były różne: jedno z dzieci chciało pływać z delfinami. Fundacja zorganizowała wyjazd nad morze Czarne. Kibic Barcelony chciał się spotkać z Ronaldhino - nie było problemu - pojechał z rodzicami do Barcelony, ktoś inny chciał komputer - dostał komputer. W klinice marzenia spełniali: Szymon Majewski, Olga Bończak, Cezary Pazura. Alka marzenie było trudne do zrealizowania, dlatego pani prosiła o alternatywne marzenie, lecz mój syn miał tylko jedno - mówi Regina Krupa.
Alku, opowiedz jeszcze, jak to mama nie zgodziła się na zdawanie egzaminu również z kategorii A, w zasadzie załatwiłeś to za naszymi plecami, - wyjawia ze śmiechem tajemnicę syna tato Alka.
W końcu jednak uległam, to przecież jego marzenie. Alek tak dużo już przeszedł. Jak mogłam się upierać?- usprawiedliwia się z rodzinnego kompromisu pani Regina.
I co dalej z Twoim marzeniem?
Po kilku dniach pani z Fundacji zadzwoniła z dobrą nowiną. Wszystko było załatwione. Prawo jazdy będę robił w STAN-MOT u pana Śnieszki ze Złotoryi. Pan doktor zgodził się, mój stan zdrowia pozwalał na zrobienie kursu. „Huurrra!" - krzyknąłem w duchu.
Ja sam wybrałem pana Stanisława Śnieszkę.Wśród młodzieży mojej szkoły pan Śnieszko ma najlepsze notowania jako nauczyciel nauki jazdy. Ma bardzo dobre podejście do młodzieży, jest cierpliwy, świetnie tłumaczy.
Olek już jest w trakcie kursu jazdy, teoretyczny egzamin ma już za sobą - pan Henryk Krupa jest wyraźnie dumny.
Czy teoretyczny był trudny?
Najbardziej się bałem, żeby egzamin nie wypadł w dniu, kiedy będę na leczeniu w klinice.
Czy denerwowałeś się podczas egzaminu?
Minęło kilka dni od kroplówki, po niej źle widziałem. Rozwiązywałem test na egzaminie, ale nie byłem pewny, czy dobrze zaznaczałem. Pytania nie były trudne.
Tłumaczyłam Alkowi, żeby czytał pytania bez pośpiechu a potem... nerwowo czekaliśmy na wyniki.Udało się Egzamin teoretyczny syn zaliczył – dodaje pani Regina.
A co z jazdą?
„L–ka" to toyota yaris. Jak dla mnie jest za delikatna, nie czuję dobrze sprzęgła, hamulców, według mnie to samochód dla kobiet, ja wolę naszego opla.
Ja również udzielam synowi prywatnych lekcji naszym oplem. Wszelkie manewry wykonuje poprawnie, „czuje" samochód. Będzie z niego kierowca! Do ruchu ciągłego jeszcze się nie włączamy - wyjaśnia rozsądnie pan Henryk - 25.01.2008 ma egzamin praktyczny.
Alku przeszedłeś bardzo wiele, patrząc na Ciebie nie widzę śladów choroby. Jesteś pogodny, chętny do działań - jak to robisz?
Muszę się trochę śpieszyć, wierzę, że wszystkie moje marzenia się spełnią a poza tym lubię wyzwania- odpowiada pogodnie Alek Krupa.

Z rodziną Alka Krupy rozmawiała Jana Kałuża

Schengen pod choinkę

W niemieckim Görlitz w okresie przedświątecznym jest organizowany jarmark *Christkindelmarkt* (bożonarodzeniowy). Nie przypomina on jednak naszych, na których tylko kupuje się produkty spożywcze i ozdoby świąteczne.

Stragany rozstawione są na całym rynku. Można powiedzieć, że jarmark to taka wielka restauracja na stojąco. Przychodzi mnóstwo ludzi, którzy piją grzane wino (bo jest bardzo zimno), jedzą gorące smażone pieczarki z cebulką i inne specjały, rozmawiają ze znajomymi, słuchają kolęd w wykonaniu miejscowych chórów i orkiestr. Na jednym ze straganów oferuje się jeszcze ciepły czarny chleb ze śliwką w środku, który cudownie pachnie drożdżami, zakwasem i wszystkimi zapachami Świąt zapamiętanymi z dzieciństwa.

Na straganach można też kupić wyroby miejscowych artystów. Są to wykrojone z cieniutkiej jasnej sklejki (broń Boże, nie pomalowane!) gwiazdki śniegu, renifery, dzwonki, świeczniki i inne ozdoby na okno bądź na choinkę. W innym miejscu - zegary z przepięknymi tarczami wykonanymi całkowicie z suszonych płatków kwiatów i liści. Trochę na uboczu kowal z Polski na otwartym palenisku wykonuje na oczach zebranych podkowy, które również w Niemczech przynoszą szczęście. Wszystkie stragany, oświetlone żółtymi światełkami, wyraźnie się odcinają na czarnym tle nieba. Jedna z ozdób świątecznych, zupełnie nieznana w Polsce, to *Herrnhuter Sterne* - gwiazda wyprodukowana w mieście Herrnhut. Gwiazdy te są różnej wielkości: od trzynastu do nawet stu trzydziestu centymetrów średnicy, oraz różnych kolorów: białe, żółte, czerwone oraz ich kombinacje; puste w środku, tak że można w nich zainstalować żarówkę i wtedy powstaje lampion. Świeci on łagodnym blaskiem i w niczym nie przypomina tandetnych światełek, wykonanych w Chinach, a przypominających krzykliwe reklamy z Las Vegas.

Od kilku lat do tradycji w Görlitz weszło polsko - niemieckie śpiewanie kolęd. Impreza ta, organizowana tydzień przed świętami przez Śląskie Muzeum w Görlitz i katolicką parafię Świętego Krzyża, ściąga sporo uczestników. Śpiewanie prowadzi moja córka Magdalena ze swoim niemieckim mężem Thomasem. Ja i mój mąż uczestniczyliśmy w imprezie w roku ubiegłym. W tym roku również otrzymaliśmy zaproszenie.

Impreza, o całkowicie świeckim charakterze, polega na wspólnym śpiewaniu kolęd, głównie śląskich, co uparcie i konsekwentnie stara się propagować mój zięć. Muzeum przygotowuje nuty i słowa, Magdalena dba o tłumaczenie polskich i niemieckich pieśni, a Thomas zapewnia akompaniament na pianinie. Wszystko odbywa się w pomieszczeniach parafii.

Wchodzimy do salki jako pierwsi, trochę pomagamy Magdalenie w aranżacji akcesoriów w postaci świec, wieńca adwentowego i opłatków. Thomas przygotowuje instrument. Powoli schodzą się ludzie. Są w różnym wieku. Od osiemdziesięciolatków, poprzez trzydziesto i czterdziestolatków, do kilkuletnich dzieci. Czekamy jeszcze kilka minut na grupę studentów germanistyki z Leszna, którzy zapowiedzieli swój udział. W końcu wchodzą młodzi ludzie, zajmują miejsca i Thomas wyjaśnia powód naszego zebrania. Ponieważ pierwsza kolęda będzie śpiewana po polsku, Magdalena najpierw ją czyta, następnie tłumaczy na niemiecki. Zaczynamy śpiewać. Rozglądam się po sali i widzę, że jest około osiemdziesięciu osób. Zauważam, że zaskakująco dużo Niemców umie śpiewać kolędy po polsku! Dużo młodych par jest dwujęzycznych. Oni śpiewają i polskie, i niemieckie kolędy. W kolejnej przerwie w śpiewaniu Magdalena opowiada o polskim zwyczaju łamania się opłatkiem. Przywiezione ze Złotoryi opłatki kładzie na talerzyku i zachęca uczestników kolędowania do zabrania ich do domu. Śpiewanie, przeplatane komentarzami Thomasa i Magdaleny, przeciąga się do półtorej godziny.

Kończymy śpiewanie kolędą szczególną. To „Cicha noc". Pierwszą zwrotkę śpiewamy po niemiecku, drugą po polsku, a następną po polsku i niemiecku jednocześnie. Wszyscy śpiewający spoglądają na siebie życzliwie, uśmiechają się. Zauważam, że nie tylko mnie ogarnęło silne wzruszenie, aż do łez. „Cicha Noc" wprowadziła jakąś magię, której poddali się wszyscy zebrani.

Impreza się kończy, wiele osób podchodzi do prowadzących gratulując świetnego przedsięwzięcia. Odważne dzieci podchodzą po opłatki. Za chwilę talerzyk się opróżnia, sala też. Wszyscy zebrani, mimo przenikliwego zimna, idą na grzane wino i spotkania z przyjaciółmi na jarmark w rynku.

W tym roku na Wigilię i Boże Narodzenie jesteśmy zaproszeni wraz z mężem przez moją córkę i jej męża do ich domu w Jauernicku niedaleko Görlitz. Magda, właściwie mieszkająca we Wrocławiu (z racji studiów), do męża tylko dojeżdżająca na weekendy, ma ogromne problemy ze zorganizowaniem Świąt. Dlatego ciągle do siebie dzwonimy i wysyłamy dziesiątki smsów, ustalając szczegóły. Magda martwi się, jak zdoła kupić choinkę na odległość. Thomas się na tym nie zna, a poza tym cały czas pyta: „Po co ta choinka? Przecież opadają z niej igły, brudzą dywan i w ogóle…" Ostatecznie ma ogromną ochotę kupić sosnę, co absolutnie, według Magdy, nie wchodzi w grę. Przecież w jej domu rodzinnym w Złotoryi, a przedtem u dziadków na wschodzie Polski, zawsze ubierało się świerk lub jodłę! A poza tym - na sośnie źle wyglądają ozdoby. Oprawę kulinarną biorę w większości na siebie, naszym gospodarzom zostawiając drobiazgi.

W końcu, po kilku dniach spędzonych całkowicie w kuchni przy przygotowywaniu kulinariów, obładowani po wręby, samochodem wyruszamy w Wigilię rano do córki i zięcia. Minęły dwa dni od wejścia Polski do strefy Schengen. Zbliżamy się do mostu na Nysie w Zgorzelcu. Wiemy, że nie musimy już przygotowywać dokumentów, a jednak z jakimś napięciem przejeżdżamy obok pustej budki strażniczej. Wszystkie samochody przejeżdżają płynnie przez most. Nie sądziłam, że przejechanie przez granicę bez kontroli będzie dla mnie takim przeżyciem! To cudowne, że moje pokolenie mogło doczekać takich czasów! Teraz będę mogła jeździć do córki zupełnie swobodnie. Czuję się tak, jakby Schengen dano mi w prezencie pod choinkę.

Jauernick, rodzona wieś mojego zięcia, jest w większości katolicka, co jest ewenementem w protestanckiej Saksonii. Mimo to, zwyczaje wigilijne różnią się nieco od naszych. Wspólnym zwyczajem jest post przez cały dzień przed wieczerzą. Polacy radzą sobie różnie, spożywając jakieś bezmięsne potrawy. W rodzinie mojego zięcia w Wigilię jadło się zawsze *Mookließla,* czyli bułkę zalaną ciepłym mlekiem z dodanym makiem z cukrem. Oczywiście jest teraz przygotowana i jemy ją na obiad. Jest całkiem smaczna i pożywna. Zaraz będziemy ubierać choinkę, którą małżeństwo zdołało kupić w polskim Sulikowie na plantacji prowadzonej przez Niemców ze Szwabii. Choinka jest piękna, kłująca, porządnie pachnąca żywicą. Zaraz będziemy ją ubierać.

- Tylko nie przesadzaj, mamo - ostrzega mnie córka. - Thomas nie lubi mocno przystrojonej choinki. Przecież wiesz, że Niemcy w ogóle są bardzo skąpi jeśli chodzi o ozdoby. Jakiekolwiek i gdziekolwiek .

Zaczynamy od światełek. Rozwijamy sznur zielonych lampek, które kupiliśmy po drodze w jakimś markecie. Tu znów ostrzeżenie.

- Ależ nie można tych światełek wieszać! - krzyczy moja córka. - One są zielone!

- No właśnie! - potwierdzam, że ja widzę to samo.

- Otóż Niemcy uważają, że lampki na choince wiesza się zamiast świec. Czy widziałaś świece z zielonymi płomykami???

- No… nie - zaprzeczam niepewnie.

W tym momencie w duchu zgadzam się z Niemcami. Nie wiem dlaczego u nas na choinkach palą się kolorowe świece? Przypominam sobie, że gdy jechaliśmy przez Görlitz, to rzeczywiście wszystkie choinki były przybrane tylko żółtymi światełkami. Ostatecznie więc wieszamy żółte światełka i jeden sznur, taki maleńki - z zielonymi. Może Thomas nie zauważy? Gdy już skończyliśmy ubierać choinkę, wieszając kolorowe bombki, srebrne łańcuchy i ciasteczka upieczone w Złotoryi, poukładaliśmy pod nią prezenty. Wyglądała jak zawsze choinka w każdą Wigilię - po prostu pięknie!

Thomas już wrócił z pracy, więc możemy przystąpić do przygotowań do samej wieczerzy.

- Co? Ryba smażona na kolację? - pyta zdegustowany zięć. - U nas na wieczerzy wigilijnej zawsze się jadło kiełbaski.

- Ale dzisiaj będzie smażony karp i barszcz z uszkami - decyduje autokratycznie moja córka. - A na deser sernik i makowiec - dodaje, a jej mąż wypogadza się na wzmiankę o serniku.

W końcu, wszyscy uroczyście ubrani, czekamy na rozpoczęcie kolacji. Stół przybrany białym lnianym obrusem, pod nim siano, na stole jedno dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa. Thomas, jako gospodarz domu, bierze do ręki opłatek i piękną polszczyzną składa wszystkim życzenia. Robi się bardzo uroczyście. Łamiemy się wszyscy - po polsku - opłatkiem i wzruszeni zasiadamy do wieczerzy.

Długo siedzieliśmy przy tej pierwszej polskiej wieczerzy wigilijnej w Niemczech jedząc, otwierając prezenty i śpiewając kolędy. Mojemu zięciowi tak bardzo posmakował karp, że musieliśmy smażyć rybę przez kolejne dwa dni świąt. Przed dwunastą, pod rozgwieżdżonym niebem Jauernicka, wraz z wieloma innymi, poszliśmy na pasterkę.

Na pierwszy dzień Świąt zostaliśmy zaproszeni do Weroniki i Lutza (szwagierki mojej córki) na poczęstunek. Gdy weszliśmy do jej mieszkania, tuż za nami wpakował się Święty Mikołaj, po czym stanął przed choinką (tylko z żółtymi światełkami) i zaczął rozdawać prezenty, wymachując ogromną miotłą brzozową na wszelki wypadek, jeśli byliśmy niegrzeczni. My z mężem też załapaliśmy się na batonika i czekoladę. Przecież byliśmy grzeczni cały rok! Następnie Święty Mikołaj zdjął swoją szatę i usiadł przy stole jako ciocia Ruth, która okazała się ciepłą, pogodną kobietą, która lubi się śmiać.

Gdy, już przy kolacji, niespodziewanie dla samej siebie, zaproponowałam przełamanie się opłatkiem, nasi gospodarze się zgodzili. Po krótkim szkoleniu, wszyscy podchodzili do wszystkich, łamiąc się opłatkiem i mówiąc *alles gute* (wszystkiego dobrego). Gdy usiedliśmy ponownie do stołu, nagle poczuliśmy, że coś się zmieniło. Opłatek wprowadził jakąś magię. Zrobiło się bardziej uroczyście? Staliśmy się sobie bardziej bliscy? Próbowałam potem wielokrotnie zanalizować swoje odczucia z tego wieczoru, ale zawsze brakowało mi słów. Mam nadzieję, że Weronika wraz ze swym mężem i gośćmi odczuwała to samo.

Na drugi dzień Świąt męża Magdy czekała jeszcze jedna próba. Otóż przyjechał w gości kuzyn Magdaleny z dziewczyną. Mieli zostać na noc, więc w mieszkaniu trzeba było zrobić małą rewolucję. No cóż, mój zięć dopiero teraz tak naprawdę dostrzegł odmienność zwyczajów i tradycji narodu, z którego pochodzi jego żona. Thomas jednak stanął na wysokości zadania i udawał, że mu wcale, ale to wcale nie przeszkadza sterta naczyń w kuchni, bałagan przy rozkładaniu kolejnego dmuchanego materaca w wychuchanym salonie ani wieczna kolejka do łazienki. Za to zyskał niepowtarzalną rodzinną atmosferę Bożego Narodzenia.

Pokonując bariery

Już po raz X mogliśmy uczestniczyć we wspaniałej zabawie mikołajkowej, która odbyła się dnia 11. stycznia br. w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Pawła II. W uroczystości wzięły udział dzieci z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Złotoryi, Domu Dziecka „Sobieradzik" w Wojcieszowie oraz młodzież z Zakładu Poprawczego w Jerzmanicach Zdroju. Gospodarzami balu byli aktywni w życiu szkoły uczniowie Liceum.

Bal rozpoczął się przemową dyrektor Liceum - Pani Barbary Mendochy. Liczne podziękowania trafiły do Marcina Rabendy, naszego wuefisty i trenera, któremu zawdzięczamy pomysł zorganizowania balu oraz do p. Sławomira Ossowskiego- najhojniejszego ze sponsorów akcji.

Przy wejściu wszystkie dzieci otrzymały serduszka, pełniące rolę wizytówek, na których były napisane ich imiona. Ułatwiło to komunikację miedzy rówieśnikami oraz pozwoliło na zawieranie nowych znajomości. Bardzo szlachetnym zachowaniem wykazali się uczniowie, którzy dbali o miłą atmosferę na sali, zabawiając przybyłych gości. Uśmiech na twarzach wywołał zespół, który już 7 raz swoją muzyką zapraszał na parkiet zarówno dzieci, rodziców jak i organizatorów. Podczas wspólnej zabawy wszyscy zapomnieli o szarej rzeczywistości i problemach, jakie spotykają ich na co dzień. W formie rewanżu dzieci zaprezentowały krótkie wystąpienie wokalne, tworząc miły, świąteczny nastrój poprzez swój ubiór oraz urzekające wykonanie kolęd. Młodzi wokaliści pomimo ogromnego stresu poradzili sobie śpiewająco i zostali nagrodzeni gromkimi brawami. Przyjemną niespodzianką było pojawienie się świętego Mikołaja, który obdarował dzieci upominkami. Maluchy z niecierpliwością czekały w długiej kolejce na spotkanie z brodaczem. Otrzymawszy podarki, w jeszcze lepszym humorze powróciły do tańca. Opuszczając szkolne mury nasi goście byli bardzo zadowoleni , mając nadzieję na powtórzenie zabawy za rok.

Pomysł zorganizowania tej wspaniałej imprezy narodził się w 1999r. Pan Marcin Rabenda zaczerpnął go z okresu studiów, kiedy PCK organizował podobne akcje. Były one inspiracją do stworzenia „Balu Mikołajkowego". - *Uważam, że takie przedsięwzięcia łamią bariery pomiędzy osobami niepełnosprawnymi, a ludźmi zdrowymi. Są one korzyścią dla obu stron, zbliżają ludzi do siebie.* - wypowiada się pan Marcin. - *Jestem także bardzo dumny z uczniów naszego liceum.*- dodaje. Do słów dołącza się również dyrektor LO, p. Barbara Mendocha doceniając zaangażowanie licealistów i Samorządu Uczniowskiego.

Na coroczne spotkania dzieci czekają z utęsknieniem, uważają je za świetną zabawę i miło wspominają spędzone razem chwile. W wypowiedziach niektórych uczestników usłyszeliśmy, że bal ten jest dla nich miłą rozrywką, zawdzięczają mu nowe znajomości i czas spędzony w gronie przychylnych, sympatycznych ludzi. - *Jestem na balu trzeci raz. Bardzo chętnie tu przychodzę, bo wiem że spotkam wielu ludzi, z którymi mogę potańczyć i wspaniale się bawić*- wypowiada się nasza rówieśniczka. Przedział wiekowy gości był bardzo zróżnicowany. Najmłodszym uczestnikiem był 16-miesięczny chłopczyk, który cieszył się największym powodzeniem, zaś najstarsza była 23-letnia Edyta.

X Jubileuszowy Bal Mikołajkowy wymagał wielu przygotowań; rozpoczęły się one na miesiąc przed imprezą. Na początku zaangażowanych było ok.10 osób, jednak z datą 11 stycznia liczba pomocników się zwiększała. Oprócz dobrych chęci potrzebne są jednak fundusze. Na szczęście znalazły się osoby dobrego serca, które wspomogły akcję finansowo. Główny sponsor uroczystości opiekuje się nią od 10 lat. -*Według mnie jest to ciekawa inicjatywa. Dziś młodzież chętnie angażuje się w akcje charytatywne, powinno ich być więcej. Sam chętnie uczestniczyłem w różnego rodzaju przedsięwzięciach i wiem, jaką to sprawia przyjemność.*

Z radością podpisujemy się pod wyżej zamieszczonymi słowami, dodając symboliczne „dziękuję" wszystkim osobom, dzięki którym dzieci poczuły się w murach naszego Liceum w tym dniu wyjątkowo. Uśmiechnięte buzie i pozytywna ocena spotkania świadczą, że dzień ten na długo pozostanie w ich pamięci jako miłe wydarzenie. Dobrze jest też wiedzieć, że wśród nas są ludzie, którym nie jest obojętne ludzkie cierpienie; których wrażliwość pomaga spełniać marzenia. Życzymy, aby kolejne spotkania były tak owocne, jak miniony , X Jubileuszowy Bal Mikołajkowy. Powodzenia!

Joanna Staworzyńska, Roksana Sobczyk, Paula Sobczak

Sylwester inaczej

Na spędzenie nocy sylwestrowej przygotowaliśmy się bardzo starannie. Przede wszystkim należało ciepło się ubrać: porządne buty, dwie pary ciepłych skarpet, ocieplane spodnie, kilka swetrów i kurtka z kapturem, nie mówiąc już o ciepłej bieliźnie.

O godzinie 22. pod Basztą zebrało się nas ponad dwadzieścia osób. Wszyscy ciepło ubrani, turystycznie wyposażeni w plecaki z prowiantem w środku. Ważnym elementem było oświetlenie. Mieliśmy więc pochodnie, latarki elektryczne ręczne, głowowe i zwykłe telefony komórkowe, które też świecą. Naszym celem było przejście około pięciu kilometrów wokół Złotoryi wyznaczoną trasą i powitanie Nowego Roku pieczoną na ognisku kiełbasą i (ale niekoniecznie) szampanem.

Pomysł na spędzenie sylwestra na rajdzie pieszym narodził się jesienią 2006 roku podczas naszych zwykłych comiesięcznych rajdów PTTK pod przewodnictwem Romana Gorzkowskiego. Kilkoro z nas zapaliło się do pomysłu natychmiast, innych (w tym Romana) trzeba było przekonywać nieco dłużej. Istotnym czynnikiem był wybór miejsca na zakończenie rajdu. Chodziło o to, aby było ono dość osłonięte od wiatru, pożądane byłoby jakieś zadaszenie, no i paliwo na ognisko. Takie warunki doskonale spełniał ogródek ekologiczny Nadleśnictwa. Pan Nadleśniczy wyraził zgodę, nawet dostarczono nam drewno na opał!

Pierwszy rajd sylwestrowy wypadł doskonale, z zaskakującą liczbą piętnastu osób, więc postanowiliśmy to powtórzyć w roku następnym.

Tylko ci, którzy lubią chodzić, wiedzą, ile radości może sprawić sam szybki marsz w gronie innych ludzi. Naukowcy bredzą coś o chemii organizmu i endorfinach, ale MY, piesi turyści wiemy swoje: trzeba porządnie się zmęczyć, żeby potem docenić odpoczynek. Ale marsz w ciemnościach to już zupełnie inna sprawa. Zwykłe kształty i dobrze znane miejsca nagle się zmieniają. Wyglądają zupełnie inaczej niż za dnia. Idziesz dobrze znaną drogą i tak naprawdę nie wiesz, gdzie jesteś. Światło pochodni i latarek tylko pogłębia ten efekt. Nad tobą rozgwieżdżone czarne niebo i światła odległego (znanego skądinąd) miasta. Chyba ta tajemniczość i odmienność rajdu kusi chętnych.

A potem, gdy już się przyjdzie na teren pięknie utrzymanego ogródka ekologicznego złotoryjskiego Nadleśnictwa, rozpali ogień na kominku, a Andrzej zagra na gitarze, można przystąpić do właściwego witania Nowego Roku. Organizatorzy w tym roku zadbali o plakietki identyfikacyjne, które każdy miał przypięte na czapce oraz wzbogacili śpiewniki pieśni biesiadnych, aby pomóc Andrzejowi w graniu.

Kiełbasa, bigos, pierogi i inne specjały podpiekały się na ruszcie, na kominku buzował przepiękny ogień, a my wszyscy darliśmy się pod niebiosa śpiewając pieśni biesiadne i byliśmy szczęśliwi. Śpiewom i pląsom nie było końca.

Niektóre z dam nawet próbowały tańca na rurze, ale z powodu niezwykłych gabarytów tejże rury (porządny kloc drzewa podpierającego daszek o obwodzie około jednego metra) musiały odstąpić od zamiaru. Tradycyjnym ukoronowaniem imprezy po godzinie drugiej było zdjęcie rodzinne pod dębem „Jan Paweł II".

W imieniu organizatorów i wszystkich uczestników naszej rajdowej imprezy bardzo serdecznie dziękuję panu Nadleśniczemu Jackowi Kramarzowi i jego pracownikom za udostępnienie miejsca i przygotowanie kominka wraz z zapasem drewna, bez którego nasza zabawa byłaby niemożliwa.

Zapalona turystka rajdów pieszych (nie tylko sylwestrowych) Agnieszka Młyńczak

Szkoła bezpiecznej jazdy

Stanisław Śnieszko na rozmowę umawia się oczywiście w samochodzie. Srebrna toyota yaris jest jego narzędziem pracy, biurem, pokojem śniadań i Bóg wie czym jeszcze.

- Muszę cię wpasować w mój rozkład dnia - mówi pan Śnieszko, rozkładając swój terminarz. - Tu mam jazdę… Tu siłownia… Tu wykład… O, zapraszam cię na wykład. Jutro o osiemnastej w ZOKiR.

Widząc moje pozytywne zaskoczenie odnośnie siłowni:

- No wiesz, muszę dbać o swój wizerunek. Dzięki tym ćwiczeniom czuję się młodszy. A poza tym to przecież dla mojego kręgosłupa, bo w samochodzie spędzam większość swojego czasu. Ćwiczę dwa razy w tygodniu - oznajmia skromnie.

Muszę stwierdzić, że tę ćwiczenia na siłowni przynoszą efekty. Stanisław Śnieszko ma nienaganną sylwetkę, której mogą mu pozazdrościć inni panowie w jego wieku.

*

Wykłady **Bezpiecznej Szkoły Jazdy Stan-Mot** odbywają się w sali szkoleń, wykorzystywanej pospołu z kursami językowymi. Jest wyposażona w tablicę, ekran do multimediów, kotary na oknach, zdalnie sterowane ściemniacze światła. Na stole przy instruktorze stoi laptop i inne tajemnicze urządzenia. Na sali kilka osób. Niektóre z nich piją jakieś napoje. Okazuje się, że szkoła jazdy częstuje kursantów zimnymi i gorącymi napojami.

- Ta niewielka frekwencja to skutek dni przedświątecznych - tłumaczy instruktor. Normalnie jest osób więcej, bo zapisało się ich kilkanaście.

Stanisław Śnieszko cichym, spokojnym głosem wyjaśnia zebranym, co będzie tematem dzisiejszego wykładu.

- Dzisiaj pokażę państwu film o wypadkach drogowych. Na jego prezentację mam zgodę komendy powiatowej policji i straży pożarnej. Prowadzenie samochodu jest bardzo przyjemne, ale brawura ma swoje konsekwencje. Źródłem jest zawsze człowiek. Należy z pokorą podchodzić do swoich umiejętności. Ten film jest przeznaczony specjalnie dla kandydatów na kierowców.

Rozpoczyna się prezentacja filmu. Bez ogródek pokazuje on skutki nieuwagi, niedbalstwa, brawury, nadmiernej prędkości kierowców. Zdjęcia kolizji i wypadków pokazują, jak przerażająco szybko można stracić życie. Chociaż ginący tutaj ludzie nie są prawdziwi (to manekiny), to i tak wrażenie jest porażające. Film demonstruje wypadki, a komentator je tłumaczy: szuka przyczyn i wyjaśnia, jak można było uniknąć kolizji.

Obserwuję kursantów. To bardzo młodzi ludzie, a więc wychowani na gangsterskich filmach akcji, gdzie takie sceny są powszechne. Ale oni wiedzą, że ten film to nie kino akcji. To jest prawdziwe i dlatego takie przerażające. Wszyscy są widocznie poruszeni, nikt się nie kręci, nie rozmawia, oczy wszystkich utkwione w ekranie. Nawet ogolony na łyso chłopak, który na początku usiadł z założoną nogą na nogę i skrzyżowanymi rękami, demonstracyjnie odwrócony bokiem do ekranu, zmienił pozycję i bardzo uważnie śledzi film. Z twarzy znikł mu drwiący uśmieszek.

- Tylko nasza autoszkoła w Złotoryi prowadzi szkolenia multimedialne - mówi z dumą Stanisław. Filmy łatwo nabyć w firmach specjalistycznych. Mamy duży zasób kaset i płyt z filmami na różne tematy. Uważam, że teoria jest podstawą szkolenia. W nauce jazdy nie chodzi tylko o to, aby rozwiązać testy. A gdzie psychologia? A gdzie kultura jazdy? A gdzie sytuacje ekstremalne? Patologie? Tego testy nie nauczą. Są tylko uzupełnieniem wiedzy, jaką kursanci nabywają w trakcie całego szkolenia. Muszę się pochwalić, że do naszej szkoły zapraszamy specjalistów. Na przykład wykład o uzależnieniach od alkoholu w ruchu drogowym prowadzi psycholog z odpowiednimi uprawnieniami, a szkolenie w zakresie kontroli ruchu drogowego prowadzi złotoryjska drogówka. Teraz przygotowuję wykład z patologii drogowej i w 2008 r. wprowadzę go jako obowiązkowy na naszych szkoleniach.

To wszystko, o czym mówi pan Śnieszko, tłumaczy popularność szkoleń tej firmy na złotoryjskim rynku nauki jazdy. Wspominam swoją szkołę jazdy ponad piętnaście lat temu, gdy w siermiężnej salce główną pomocą naukową była tablica i rysowane na niej koślawe rysunki instruktora. Jedyną pomocą naukową był stojący w kącie model podwozia, aby nam

fot.: Ryszard Masłowski

przybliżyć sposób działania samochodu. Z tej pomocy nasz instruktor nigdy nie skorzystał. Pamiętam też, jak całkiem niedawno moja córka szkoliła się na kierowcę w jednej ze złotoryjskich szkół jazdy. Dziwne, ale jej zajęcia wcale nie różniły się od tych moich sprzed kilkunastu lat.

*

- Ja już nic nie pamiętam! Wszystko zapomniałam! - zawzięcie żując gumę, nerwowo chichocze Ola, która już siedzi za kierownicą, przygotowana do jazdy.

Sadowię się na tylnym siedzeniu srebrnej toyoty, po czym wraz ze Stanisławem wyjaśniamy Oli na czym polega moja obecność w aucie. Dziewczyna, po lekkim wahaniu, zgadza się.

- To która twoja jazda? - pytam.

- Piąty raz - odpowiada Ola, a do mnie dopiero po jakim czasie dociera, że to nie piąta jazda, a piąte podejście do egzaminu.

- Teraz średnio podchodzi się do egzaminu sześć razy - wyjaśnia Staszek.

Z lekka mnie to przeraża. Z roku na rok jest coraz trudniej zdać egzamin z jazdy. Gdy ja zdawałam taki egzamin, średnia podejść do egzaminu to było cztery razy.

- No, Oleńka, jedziemy - słyszę łagodny i cichy głos instruktora. - Hamulec, sprzęgło, jedynka, teraz dwójka i spokojnie wjeżdżamy na skrzyżowanie. Teraz ostrożnie, patrzymy na wszystkie strony.

Dzisiaj nie pada, ulice są suche, jest lekki mróz. Widoczność dobra, choć pochmurno, ale za to słońce nie oślepia. Do nauki jazdy warunki doskonałe. Ola kieruje się na plac Reymonta. Jest południe. Po ulicach, jak to w Złotoryi, chodzą bezładnie ludzie, w ogóle nie patrząc na samochody. Wyobrażam sobie, co czuje kursantka za kierownicą. Dziewczyna prowadzi skupiona, jedzie powoli. Nagle ostro hamuje, aż rzuciło mnie na pasy. Dobrze, że je zapięłam. W końcu wjeżdżamy na plac. Mimo, że to bardzo trudne miejsce dla kandydatów na kierowców, to stąd wyjeżdżają wszystkie złotoryjskie „elki". Na placu zbiega się aż sześć ulic, pasy poziome ledwo widoczne, a my musimy ustąpić wszystkim. Czekamy zatem na miejsce.

- Teraz, Oleńko, droga wolna, możesz wjeżdżać - szemrze instruktor.

Ola bez problemów wjeżdża na plac i kierujemy się na ulicę Staszica, aby potem skręcić w Chojnowską. Naszym celem jest plac ćwiczebny autoszkoły pani Renaty Śnieszko - Pawłowskiej, która jest de facto właścicielką firmy.

- Ja jestem, można powiedzieć, dyrektorem autoszkoły i zarazem instruktorem - wyjaśnia Stanisław.

No, jesteśmy już na Staszica. Ola jedzie pewniej. Na liczniku 49,5 km.

Staszek cichym głosem cały czas mówi.

- Ola, miałaś dużą przerwę. Redukujemy: sprzęgło, jedynka, wjeżdżamy na skrzyżowanie, patrzymy w lewo, w prawo, znów sprzęgło, teraz dwójka, trójka. Tak, dobrze. Jedziemy dalej.

Bezpiecznie przejechaliśmy przez tory kolejowe i jesteśmy już na skrzyżowaniu Chojnowskiej z Grunwaldzką.

- Oj, teraz wjechałaś trochę za głęboko - instruktor poprawia położenie kierownicy Oli. - Czekamy na miejsce. Wolne. Można jechać.

Ola rusza, szarpiąc mocno.

- Ola, zachowaj płynność, szarpiesz - napomina łagodnie Staszek.

Z Grunwaldzkiej wjeżdżamy na plac manewrowy.

- Noga z hamulca, noga z hamulca! Na sprzęgle, Ola, na sprzęgle! - to chyba niemożliwe, ale wydaje mi się, że pan Stanisław podniósł głos.

- Jakie manewry zdaje się teraz na placu? - pytam.

- Teraz to tylko jazda tyłem po łuku i ruszanie pod górę z ręcznego. Reszta na ulicach - wyjaśnia Ola.

- A gdzie ćwiczycie parkowanie?

- Zwykle pod przychodnią zdrowia, czasem pod szpitalem. Gdzie indziej jest tłoczno.

Na placu Ola ćwiczy jazdę tyłem po łuku. Dobrze jej idzie. Widzę, że to teraz nietrudny manewr, bo łuk obstawiony jest gęsto tyczkami, tak że z siedzenia kierowcy jest doskonale widoczny. Ola świetnie sobie radzi z tym manewrem. Jedzie raz, potem drugi.

- Bardzo dobrze! - chwali instruktor. - A teraz zrobimy obsługę codzienną samochodu. Wychodzimy, otwieramy maskę. O, to jest bagnet, stan oleju, tu spryskiwacz…- instruktor po kolei pokazuje elementy wnętrza samochodu. - Pamiętaj, Oleńko, żebyś zapytała egzaminatora, gdzie jest podnośnik do zmiany koła, bo to jest różnie w różnych samochodach. Na tym mogą oblać - przestrzega.

Pochwała za jazdę na łuku chyba wpływa mobilizująco na Olę, bo z placu wyjeżdżamy bez problemów, nawet instruktor mniej poucza. Młoda adeptka wprawnie wrzuca kolejne biegi, samochód nabiera prędkości. Wjeżdżamy na parking pod przychodnią, lecz tu stoi samochód przy samochodzie, brak wolnych miejsc. Ale po chwili znajdujemy jedno i Ola zaczyna bardzo trudny manewr parkowania tyłem między dwoma samochodami.

- Parkujemy tyłem. Lewe ramię, Olu, tylko w lewo. Pamiętaj, ocena odległości. Teraz prostuj… Raz, dwa. Troszkę w lewo, powoli… Jeszcze cofamy… kierownicę w lewo. Jeszcze masz miejsce. A teraz drugi raz. Patrzymy przez prawe ramię, oglądaj się, prostuj, raz, dwa… jeszcze… Jeszcze… - instruktor otwiera drzwi. - Teraz jest dobrze!

Ola powtarza manewr jeszcze raz i jeszcze raz.

Siedzę z tyłu cichutko i przypominam swoje miliony kropel potu i łez wściekłości przelanych nad nauką tego manewru. Wtedy ćwiczyło się na placu wśród mnóstwa tyczek, które miały ułatwiać manewrowanie, a w rzeczywistości utrudniały, bo biedny kursant po jakimś czasie przestawał je odróżniać. Dla ułatwienia instruktorzy nasadzali na tyczki opakowania po papierosach. „Proszę się kierować na Marlboro, a teraz na Klubowe" - mówiono nam. Na egzaminie, niestety, papierosów nie było. Odległości, z jakich można było zaczynać ten manewr, były ściśle określone. Tak naprawdę to było prawie nie do zdania i na tym najczęściej kursanci oblewali. Teraz, jak widzę, jest znaczne ułatwienie. Ktoś mądry w końcu zmienił głupi przepis. Bo przecież chodzi tylko o to, aby zaparkować prawidłowo i bezpiecznie. A gdy już odbierze się prawo jazdy i zaczyna jeździć samodzielnie, to i tak na parkowanie wybiera się takie miejsca, gdzie jest najłatwiej. Każdy to wie.

*

Mój interlokutor w końcu pozałatwiał wykłady i jazdy, i ma teraz czas dla mnie.

***Agnieszka Młyńczak** - Jak długo jesteś instruktorem? Bo, o ile wiem, masz zupełnie inny zawód?*

Stanisław Śnieszko - Mój zawód wyuczony to technik mechanik. Obok swojej pracy zawodowej pracowałem dodatkowo jako instruktor nauki jazdy w Lidze Obrony Kraju, która prowadziła takie kursy, potem w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego. Od 2000 r. pracuję na pełny etat w szkole nauki jazdy Stan-Mot, której właścicielką jak już wspomniałem, jest moja córka. Ja i jej mąż jesteśmy w niej instruktorami. Wykonuję ten zawód od trzydziestu lat. Tylko że w poprzednich latach było to uzupełnieniem mojego dochodu, a teraz jest głównym zajęciem.

- Czy ciężko jest zdobyć uprawnienia instruktora?

- Jest to o wiele trudniejsze od uprawnień kierowcy na kategorię B. Na szczęście ja zdobyłem te uprawnienia dawno, ale i tak musiałem przejść weryfikację kilka lat temu. Było to bardzo podobne do szkoleń kierowców. Najpierw były wykłady, na których oprócz przepisów ruchu drogowego była też psychologia i pedagogika.

- Jak u nauczycieli?

- No tak, teraz instruktor nauki jazdy uważany jest za nauczyciela zawodu.

- Denerwowałeś się?

- Jasne! Wyobraź sobie, że ja, instruktor z trzydziestoletnim stażem, nie zdaję egzaminu! To by była kompletna porażka! I wstyd.

- Ale dałeś radę?

- Tak, zdałem egzamin teoretyczny i praktyczny, ale byli instruktorzy, którzy nie zdawali. Mieli potem poprawki.

- Wasza szkoła nauki jazdy uważana jest w naszym mieście za jedną z lepszych. Co ją wyróżnia?

- W Złotoryi jest aż pięć ośrodków nauki jazdy. Jak na tak małe miasto to jest bardzo dużo, stąd duża konkurencja. Aby utrzymać się na rynku, trzeba właśnie się wyróżniać.

- Właśnie, już nazwa was wyróżnia: Szkoła Bezpiecznej Jazdy.

- Tak, a poza tym, jak już wiesz, tylko nasza firma wprowadza techniki multimedialne na wykładach. Uważam, że to znakomicie podnosi jakość i atrakcyjność zajęć. No i tylko my jedni prowadzimy szkolenia kontrolowanego poślizgu.

- To jest na waszej stronie internetowej, ale może bliżej o tym opowiesz?

- Do samochodu zamiast tylnych kół montuje się specjalne koła tzw. trolleye, które obracają się niezależnie od kół przednich, tak jak kółka w wózkach w supermarketach. To one powodują, że samochód wpada w poślizg, a kierowca uczy się wychodzenia z niego. Chodzi tu o koordynację wzrokowo - ruchową, aby wyrobić sobie automatyczną zdolność odruchowego skrętu w tę stronę, w którą samochód wpada w poślizg. Normalnie, jak samochód wpada w poślizg, to kierowca odruchowo kręci kierownicą w stronę przeciwną, niż samochód się obraca. I to jest błąd! Dlatego właśnie w naszej szkole zostało wprowadzonych pięć obowiązkowych godzin jazdy kontrolowanego poślizgu na ogólne 30 godzin jazdy. Ćwiczymy na fiacie. Ale oprócz tego samochodu mamy jeszcze nissana micrę i toyotę yaris do jazd w terenie i na placu.

Oprócz tego nasza firma wyszła z inicjatywą szkoleń motorowerzystów. Z nimi jest problem. Otóż oni zdobywają uprawnienia w szkole w gimnazjum, gdzie nie uczą ich fachowcy. Potem wyjeżdżają na drogi, prowadząc pojazd mechaniczny. Są dużym zagrożeniem dla ruchu drogowego. Do tej pory wyszkoliliśmy dziesięć osób za darmo. Wierzę, że ci sami chłopcy wrócą kiedyś do naszej szkoły na kurs kierowców.

Chciałem jeszcze opowiedzieć o udziale w fundacji „Marzenie". Otóż pomaga ona niepełnosprawnym lub bardzo chorym osobom spełniać marzenia. Nasza placówka pomogła spełnić marzenie Olkowi ze Złotoryi, który jest chory na nowotwór. Mianowicie zasponsorowaliśmy mu połowę kosztów za kurs prawa jazdy. Olek taki kurs zaliczył w naszej szkole, doskonale zdał testy, a egzamin praktyczny będzie miał w styczniu. Radzi sobie bardzo dobrze. Mam nadzieję, że dzięki mojej pomocy w realizacji marzenia Olek lepiej będzie znosił chorobę.

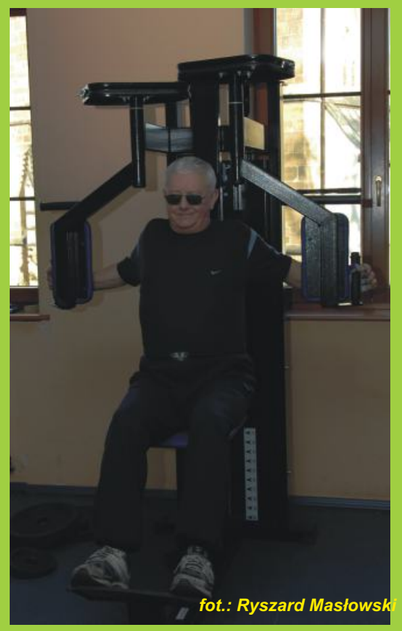
fot.: Ryszard Masłowski

- Co jeszcze, według ciebie, wyróżnia waszą placówkę?

- Pochwalę się, że w ramach naszych kursów wprowadziliśmy profesjonalne szkolenia w zakresie pierwszej pomocy, prowadzone przez ratownika z uprawnieniami. Ponadto zaczynamy wprowadzać kurs profesjonalny za 2000 zł (normalnie kosztuje on u nas 1200 zł). Jego podstawa to pięćdziesiąt godzin jazdy zamiast trzydziestu, a co za tym idzie, bardzo wysoka jakość szkolenia. Efekty są niesamowite, zdawalność wysoka. Więc jeżeli ocenimy to globalnie, to się opłaca zapłacić więcej za kurs, bo wtedy o ileś razy mniej płacisz za kolejny egzamin, nie mówiąc już o mniej starganych nerwach. Po moim przejściu na emeryturę przejdziemy tylko na tę formę, bo zainteresowanie jest bardzo duże.

- Zadam może trochę niedyskretne pytanie: można z tego wyżyć?

- Tak, pod warunkiem, że ciągle będzie się doskonalić swoją pracę. W kodeksie drogowym są ciągłe zmiany i instruktor musi w nich być na bieżąco. Poza tym należy uatrakcyjniać zajęcia, żeby klienci wybrali moją szkołę, a nie np. konkurenta. A poza tym ja oprócz Złotoryi prowadzę zajęcia przedegzaminacyjne w Jeleniej Górze, uczę też w Legnicy.

- Widzę, że lubisz to zajęcie?

- Zawsze chciałem być nauczycielem. Lubię uczyć. Bardzo!

- ?!

- No tak, sprawia mi to ogromną satysfakcję. Po wykładzie, kontakcie z młodzieżą, czuję się bardzo dobrze. Jestem taki… odświeżony.

- Sądzę, że twój charakter predysponuje cię do takich zajęć. Jesteś bardzo spokojnym i opanowanym człowiekiem. Zauważyłam to podczas jazdy z Olą. Nigdy nie podnosisz głosu? Nie denerwują cię kursanci?

- To prawda, że trzeba mieć odpowiedni charakter. Nie wyobrażam sobie, że można krzyczeć na kursantów, chociaż wiem, że to jest dość częsta praktyka w innych autoszkołach. Zbyt częsta. Ja wyznaję zasadę, że najpierw należy nawiązać kontakt. Do młodych kursantów mówię na „ty"(oni to akceptują), a jeżeli jesteśmy w zbliżonym wieku, przełamaniem lodów jest obopólne przejście na „ty". Podczas jazdy zawsze okazuję spokój, nawet gdy kursant jest kłębkiem nerwów.

- Ale jakim kosztem to się odbywa? Jak sobie radzisz z nagromadzonymi emocjami?

- Spokój kosztuje. Czasami po jeździe z takim *kłębkiem nerwów* jestem tak wyczerpany, że nie mogę z nikim rozmawiać. Sięgam po lampkę koniaku i powoli się uspokajam. Ale to się zdarza bardzo rzadko.

- Miałeś jakichś szczególnych kursantów, których mocno zapamiętałeś?

- Były trzy kobiety w wieku dojrzałym, którym po kilku godzinach jazdy powiedziałem, żeby zrezygnowały z nauki, bo nic z tego nie będzie. Wyobraź sobie, że po ośmiu godzinach jazdy nie umiały skoordynować ruchów, skręcały gwałtownie kierownicą i okazywały ogromny lęk. Do tego stopnia, że gdy mijały się z jadącymi z naprzeciwka pojazdami, zwłaszcza dużymi ciężarówkami, to zamykały oczy! Te kobiety były właśnie kłębkami nerwów. Wiem, że po rezygnacji z lekcji jazdy u mnie szukały innych instruktorów, ale ostatecznie zrezygnowały całkiem. Myślę, że zanim człowiek podejmie decyzję o wyrobieniu prawa jazdy, powinien sobie zadać pytanie: „Po co mi prawo jazdy?" Często jest tak, że mąż wysyła żonę, żeby zrobiła prawo jazdy, aby go wozić do domu po zakrapianych imprezach, a ona nie czuje takiej potrzeby, bo jest w na przykład wieku przedemerytalnym. Chłopcy natomiast często traktują posiadanie prawa jazdy bardzo ambicjonalnie. Dla nich to prestiż społeczny i szacunek (według nich) innych młodych ludzi. Takie osoby nigdy nie będą dobrymi kierowcami.

- Jaki jest stosunek płci wśród kursantów?

- Teraz jest więcej kobiet niż mężczyzn. Zresztą ja lubię uczyć płeć piękną. Dziewczyny zwykle mają po raz pierwszy kontakt z kierownicą, chcą się nauczyć jeździć, są bardzo odpowiedzialne. Uczę je od podstaw. Chłopcy natomiast zwykle już coś tam umieją, ale robią takie błędy, że wyrugowanie ich zabiera mi sporo czasu.

- Wspominałeś coś o swojej emeryturze?

- Za kilka miesięcy składam dokumenty o emeryturę, ale nie zamierzam być emerytem w kapciach! Nadal będę prowadził zajęcia w naszej szkole, bo dzięki kontaktom z młodymi ludźmi czuję się młodszy, chociaż już jestem dziadkiem.

- Takim prawdziwym?

- Tak! Mam troje wnucząt: Mikołaj - 8 lat, Cyprian - półtora roczku i siedmiomiesięczna Majka. Kocham moje wnuki i muszę ci się przyznać, że to jest miłość silniejsza niż kiedyś do własnych dzieci. To jest bardzo dziwne zjawisko, ale tak już jest. Zobaczysz sama!

- Mam nadzieję, że wkrótce. Dziękuję za rozmowę.

Agnieszka Młyńczak

Post scriptum

Ola na drugi dzień szczęśliwie zdała państwowy egzamin z jazdy i teraz może się cieszyć zasłużonym odpoczynkiem. Gratulujemy i witamy w gronie

Z historią w tle

Budynek, w którym mieści się *Rancho pod Strusiem* ma 200 lat. W stylowym, rustykalnym wnętrzu wzrok przyciąga oryginalny kominek, nad którym widnieje data 1807. Właściciele Ewa Wolak i Jacek Barciszewski dbają o odtworzenie, a właściwie zachowanie klimatu sprzed wieków. Pomaga im w tym sam dom, w którym atmosferę tworzą piękne krzyżowe sklepienia, liczne kolumienki, kominki. Gospodarstwo, w którym teraz mieszkają, kupili w 1999 roku. Mieli dość miasta. Porzucili domek z ogrodem i przenieśli się do oddalonego od głównych szlaków Wojcieszyna. Wśród ich znajomych stanowili jedną z wielu par, która wybrała drogę pod prąd, czyli życie z dala od miasta. Początkowo myśleli o tym, by gospodarstwo na wsi było dla nich weekendową odskocznią od legnickiego gwaru. Stało się inaczej. Dom oznaczony numerem 80 zobaczyli jako pierwszy, i choć szukali dalej, wrócili tu, bo nie znaleźli bardziej urokliwego miejsca. Zabudowania gospodarcze w stylu folwarcznym, przepływająca nieopodal młynówka i rozległe tereny przy domu przemówiły do nich najsilniej. Niewiele znaczył fakt, że dom wymagał potężnego remontu. Kupili go bez dłuższego namysłu od dwóch starszych sióstr.

Po pewnym czasie zrodziła się myśl, by uczynić z tego miejsca gospodarstwo agroturystyczne. Słowo stało się ciałem i obecnie mieści się tu sześć pokoi, które właściciele zamierzają jeszcze modernizować, aby mogły spełniać wymogi przyzwyczajonych do luksusów gości. Ludzie, którzy przyjeżdżają na wieś, jednak chcą mieć wciąż miejskie warunki mieszkaniowe. Dla p. Ewy i p. Jacka liczy się to, aby goście mogli spojrzeć na wieś ich oczami i zachwycić się widokami, docenić towarzystwo zwierząt, skosztować typowo wiejskiego jadła. I to im mogą zaoferować. Gospodarze marzą, by goście przyjeżdżali tu na dłużej i powracali w kolejnym sezonie. Oni już wiedzą, jakie atrakcje można zapewnić przyjezdnym.

Zwierzyniec

Wizytówką *Rancha pod Strusiem* są oczywiście zwierzęta. Ani pani Ewa ani p. Jacek nie mieli wcześniej doświadczeń w hodowli, jeśli nie liczyć kotów czy psów. A zaczęli z rozmachem. Postawili na strusie. Mieli świadomość, że to będzie atrakcja w okolicy. Kupili pięć miesięcznych piskląt. Wyglądały dziwacznie: *kury na długich nogach, długie szyje, głowa jak u małego krokodyla, a zamiast piór, rurki, które wyglądały jak kolce* - wspomina p. Ewa. Hodowla strusi okazała się nie lada problemem. Gospodarze musieli przyzwyczajać się do ekscentrycznych zachowań ptaków, min. klaustrofobii czy nieuzasadnionej agresji. Kiedy już pokonali ten problem, strusie zaczęły zdychać. Dzisiaj został jeden. Nazwa rancha ma zatem wciąż swoje uzasadnienie.

Oprócz strusi pojawiły się też konie. *Myśleliśmy o ośrodku jeździeckim, takim z prawdziwego zdarzenia, z nauką jazdy konnej, wyjazdami w teren* - wspomina p. Jacek. Kupili klacz w Jaroszowce. Sophia urodziła im trójkę źrebaków. Dokupili jeszcze jednego konia. Niestety, ośrodek jest ciągle tylko w planach. To, że są konie, jeszcze nic nie znaczy. *Nie mamy instruktora, który zająłby się nauką. Wielu z nich wyjechało na Zachód, gdzie oferuje się im większe pieniądze. Nawet zgłaszaliśmy się do technikum rolniczego w Chojnowie, aby przyjąć uczniów na praktyki, ale nie mamy jeszcze odzewu* - opowiadają gospodarze. Końmi zajmuje się teraz zatrudniony w tym celu pracownik. Jednak jego obowiązki ograniczają się tylko do pielęgnacji zwierząt.

Pan Jacek Barciszewski w nastrojowym wnętrzu

Pani Ewa Wolak - na pierwszym planie - dzieli się opłatkiem

Ludzie

Właściciele *Rancha* są już zadomowieni w Wojcieszynie. Zostali zaakceptowani przez mieszkańców wsi. Podczas niedawno zorganizowanego przez nich jubileuszu 200 - lecia domu uroczystość uświetnił zespół folklorystyczny z Wojcieszyna, wśród gości było wielu mieszkańców wioski. *Gdyby nas nie lubili, na pewno spędziliby te kilka godzin w inny sposób* - tłumaczy p. Ewa. Może na początku dziwiono się, że ludzie z miasta zakładają tu agroturystykę, tym bardziej, że w okolicy takich gospodarstw jest naprawdę niewiele. Najbliższe - w Proboszczowie. Gospodarze *Rancha* mają nadzieję, że gdy ich dom zacznie przynosić zyski, znajdzie się w nim miejsce do pracy dla kilku osób ze wsi. Na razie borykają się z trudnościami finansowymi, które spowalniają rozruch gospodarstwa i doprowadzenie jego stanu do wymarzonej formuły. Nie mogą liczyć na wsparcie gminy, gdyż ta jest biedna, dotacje z innych źródeł też niełatwo pozyskać. Nie poddają się. Każde z nich ma swoje źródło dochodu. Zarobione pieniądze inwestują w dwustuletni dom, który sami nazywają studnią bez dna. Ale z entuzjazmem mówią o swoich planach. Nie można im odmówić zdolności organizacyjnych ani daru do wyszukiwania i przyciągania do siebie interesujących ludzi. Podczas grudniowej imprezy jubileuszowej wszystkich zachwycił występ znajomego p. Ewy z ławy szkolnej - p. Romana Hawrana. Ukraińskie i łemkowskie pieśni w jego wykonaniu poruszyły gości nie mniej niż wiszące na ścianach sali kominkowej akwarele innego przyjaciela domu, weterynarza ze Lwówka Śląskiego - Jerzego Borowca.

Pani Ewa i pan Jacek w Sylwestra zorganizowali zabawę dla 30 osób. Nie musieli dawać ogłoszeń o zabawie, goście znaleźli się bez problemu. Atutem był smaczny i wykwintny poczęstunek oraz mały prezent dla uczestników zabawy, a artystycznym akcentem zabawy - baśniowa dekoracja sali wykonana przez malarkę Lidię Malicką. Za niewielkie pieniądze można było bawić się nie gorzej niż w renomowanych lokalach. Gospodarze nie mają więc pod tym względem kompleksów przed swoimi światowymi znajomymi.

Plany

Właściciele *Rancha* nie wyobrażają sobie funkcjonowania gospodarstwa bez zatrudnienia kilku osób. Tu liczą na dotację z programu *Rozwój mikroprzedsiębiorstw na wsi*. Aby pozyskać pieniądze na modernizację domu, muszą zabiegać o gości. Chcą nawiązać współpracę z biurami podróży, aby przyjmować grupy zorganizowane. Myślą też o poszerzeniu bazy noclegowej. Na szczęście mają tyle terenu do zagospodarowania, że w przyszłości bez problemu nocleg znajdzie tu kilkadziesiąt osób. Oczyma wyobraźni widzą centrum konferencyjno - rekreacyjne. Może spa? Chcą też wprowadzać nietypowe rozrywki dla gości. Pani Ewa z wypiekami na twarzy mówi o swoim hobby - szyciu butów. Uważa, że nauka tego zajęcia byłaby atrakcyjna dla przyjezdnych Maszyny już stoją gotowe. W planach jest też warsztat garncarski dla gości czy szwalnia z zabytkowymi, nożnymi maszynami.

Warunkiem istnienia gospodarstwa agroturystycznego jest skuteczna promocja. Gospodarze oparli ją na historii domu. Dwa wieki istnienia w końcu do czegoś zobowiązują. Dzięki współpracy z TMZZ możliwe stało się zorganizowanie hucznego jubileuszu, podczas którego historyk Roman Gorzkowski wygłosił prelekcję o dziejach Wojcieszyna, p. Alfred Michler opowiedział o żyjących w XVI wieku w okolicy szwenkfeldystach, a Krzysztof Sikora przybliżył historię leżącego nieopodal zamku Grodziec. Spotkanie przyniosło oczekiwany efekt. Niektórzy z zaproszonych na jubileusz gości, po raz pierwszy, i pewnie nie ostatni, przekroczyli progi zabytkowego domu.

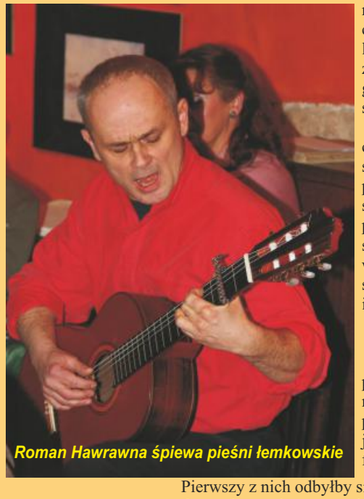

Roman Hawrawna śpiewa pieśni łemkowskie

I w ten sposób historia otwiera przed właścicielami tego domu przyszłość. Miejmy nadzieję - równie interesującą, jak przeszłość

Kozy i sery

W gospodarstwie znajduje się ok. 60 kóz. Pani Ewa z mleka koziego produkuje wspaniałe sery. Do receptury dochodziła sama przez kilka lat, czytając fachowe artykuły, ale też podpytując znajomych serowarów czy eksperymentując we własnej kuchni. Największą trudnością było zdobycie podpuszczki. Firmy, które ją produkują, sprzedają w hurtowych ilościach (100 litrów), a na użytek gospodarstwa potrzebne są niewielkie ilości tego składnika (na 10 litrów 1 cm sześcienny składnika). Z 10 litrów mleka można uzyskać kilogram sera. W sezonie pod Strusiem produkuje się mozzarellę lub sery o smaku czosnkowym, ziołowym. Po wyprodukowaniu można je przechowywać kilka miesięcy, najlepiej w czystej, suchej piwnicy lub lodówce. Przyznaję, że smak tych serów godny jest podniebienia smakosza.

Gospodarze chcą zwiększyć liczbę stada i nastawić się na profesjonalną produkcję serów. Myślą, aby przyłączyć się do tzw. szlaku miodowo-winnego i sprzedawać swój produkt podczas imprez regionalnych.

Jarmarki

Pomysłem na promocję i sprzedaż sera mają być wymyślone przez właścicieli *Rancha* jarmarki. Najlepiej w formule tematycznej. Pierwszy z nich odbyłby się z okazji Dnia Dziecka. Gospodarze chcą zaprosić innych producentów z okolicy, a ta bogata jest w zapaleńców wytwarzających tzw. produkty regionalne. W najbliższych planach jest już impreza „interdyscyplinarna", na której goście mogliby kupić nie tylko sery, ale też miód, wyroby z wosku, ceramikę, haftowane serwetki. Przy okazji uczestnicy zabawy mogliby nacieszyć oko obrazami miejscowych artystów i wspomóc ich przy tym finansowo. Projekt obejmuje również zaangażowanie dziecięcych i młodzieżowych grup teatralnych, których występy byłyby formą promocji zespołów i niewątpliwą atrakcją dla innych gości.

Pani Ewa uważa, że to właśnie młodych ludzi trzeba angażować w działania kulturalne. Dając dzieciom i młodzieży zajęcie, proponując alternatywne formy spędzania wolnego czasu, można z nich wydobyć to, co najlepsze. Dlatego też wpadła na pomysł, by zorganizować u siebie warsztaty plastyczne (malowanie, lepienie z gliny). Wójt już zapewnił ją, że przekaże środki na sfinansowanie pracy malarki ze Złotoryi, która poprowadziłaby zajęcia z dziećmi. Swoistym preludium do tego przedsięwzięcia był konkurs plastyczny dla uczniów szkoły podstawowej i gimnazjum w Pielgrzymce zorganizowany i w części sfinansowany przez p. Ewę. Efekt tego artystycznego współzawodnictwa - prace przedstawiające choinkę marzeń - wiszą teraz w holu *Rancha pod Strusiem*. Autorzy nagrodzonych malunków, wyklejanek, kompozycji tuż przed świętami otrzymali z rąk wójta i p. Ewy interesujące nagrody.

*

Zastanawia mnie, czy ci, którzy uciekli przed miastem i jego atrakcjami, nie żałują swojego wyboru. Odpowiedź p. Ewy jest zdecydowana: *Kiedy muszę jechać do Legnicy, tak planuję trasę*

Alfred Michler w czasie kontrowersyjnego wystąpienia o Schenckfeldianach

Choinka moich marzeń

Konkurs plastyczny

Gimnazjum w Pielgrzymce: I miejsce – Dajana Szumińska, II miejsce – Paweł Pisarski, III miejsce - Arkadiusz Kręcichwost.
Szkoła Podstawowa w Pielgrzymce - Kategoria 4-6: I miejsce - Marcelina Kosin, II miejsce - Dominika Jadach, III miejsce - Klaudia Kortus.
Kategoria 0-3: I miejsce - Damian Jędrasiak, II miejsce - Brajan Jędrasiak, III miejsce - Bartosz Majdan.
Sponsorzy nagród książkowych: Wójt Gminy w Pielgrzymce oraz „Rancho pod Strusiem".
Prace wyeksponowane są w „Rancho pod Strusiem"

Portret Caspara Schwenckfelda

Schwenckfeldianie

Caspar Schwenckfeld to jedna z postaci w dziejach Śląska i Ziemi Złotoryjskiej, która w sposób niezasłużony cieszy się niezbyt dobrą sławą. Już w okresie jego działalności krążyło po Dolnym Śląsku o nim i jego zwolennikach niezbyt chlubne powiedzenie. Wynikało z niego, że diabeł napełnił Schwenckfeldianami z okolic Legnicy i Złotoryi cały ogromny worek i w drodze do piekła przez nieostrożność zahaczył o Ostrzycę – worek się rozpruł i cała jego zawartość rozsypała się po okolicy.

Nie szczędzili Schwenckfeldowi złośliwości, a nawet obrażających godność ludzką epitetów, wielcy przedstawiciele ówczesnej reformacji. Jest to trochę dziwne, ponieważ dla postępów reformacji na Śląsku Caspar Schwenckfeld uczynił naprawdę dużo. Jego „błąd" polegał prawdopodobnie na tym, że na pewnym etapie swoich przemyśleń i działalności uznał, iż nową wiarę rozumie lepiej niż jej twórca, czyli Marcin Luter.

Początki działalności

Spośród licznych sekt protestantyzmu na uwagę zasługują właśnie Schwenckfeldyści, nazwani tak od nazwiska Daniela Caspara Schwenckfelda. Tenże urodził się w Osieku (Ossig) koło Lubina. Miejsce urodzenia jest pewne, natomiast niejasności powstają przy dacie urodzenia – 1489 lub 1490. Tak, czy owak, C. Schwenckfeld jest rówieśnikiem jednego z największych swoich przeciwników ideowych - złotoryjanina Valentina Trozendorfa. Pochodził z rodziny szlacheckiej i przez swoich rodziców był przewidywany, i miał wszelkie dane ku temu, ażeby działać w tzw. wyższych sferach. Niewiele wiemy o jego latach młodzieńczych. Wiadomo jednak, że studiował w Kolonii, że przebywał także w Wittenberdze, gdzie spotkał się i zapoznał z Marcinem Lutrem i jego nauką.

Reformacja czyniła na Śląsku, a szczególnie w Księstwie Legnickim oraz na Ziemi Złotoryjskiej, bardzo szybkie postępy. Już w roku 1518 „nowinkami religijnymi" zainteresowała się rodzina von Zedlitz z Nowego Kościoła. Na ich życzenie, Marcin Luter przysłał do Nowego Kościoła kaznodzieję Melchiora Hoffmanna, który wygłosił w tej wsi, prawdopodobnie pierwsze na Śląsku, kazanie w duchu nowej wiary. Przez długie lata na starym cmentarzu w Nowym Kościele, obok obecnie zrujnowanego kościoła ewangelickiego, znajdowała się kamienna tablica, wmurowana w mur cmentarny, która upamiętniała to wydarzenie (tablica zniknęła jednak ok. 2000 r.). Pierwsze protestanckie kazanie w Złotoryi wygłoszono 14 września 1522 r. Władze Złotoryi i prawie cała ludność przeszła na protestantyzm. Głęboko i szczerze wierzącym katolikom, których może ranić taka informacja i sprawiać, że „tamta" Złotoryja jawi im się jakaś zimna i obca, chciałbym to nieco ocieplić i przybliżyć. Otóż, nasz wielki Jan Paweł II w żadnej ze swoich homilii i w innych wypowiedziach nie wymieniał, i nie traktował, Marcina Lutra jako rebelianta i wywrotowca.

Caspar Schwenckfeld przebywając w Wittenberdze, zainteresował się na stałe i dogłębnie nauką Marcina Lutra. I wydawało się, że w kwestiach wiary obaj pójdą ręka w rękę. Schwenckfeld położył wielkie zasługi w dziele krzewienia protestantyzmu w Księstwie Legnickim. Przyczynił się również do tego, że w początkowej fazie książę Fryderyk II dość wyraźnie okazywał zainteresowanie, a nawet skłaniał się ku idei Schwenckfelda. Pociągała go w niej przede wszystkim „czystość wiary" głoszona przez Schwenckfelda. Rychło jednak wyznaniowe szlaki Fryderyka II oraz Lutra i Schwenckfelda się rozeszły. Były dwa główne powody ich rozejścia się: chrzest i komunia.

Zapał, z jakim Schwenckfeld głosił swoje zasady wiary, przysporzył mu, owszem, wielu zwolenników ale jeszcze więcej przeciwników, a nawet zaciętych wrogów, przede wszystkim wśród samych protestantów. Również książę Fryderyk II stracił zainteresowanie dla jego idei pod wpływem Valentina Trozendorfa. Na założonym przez księcia Fryderyka II uniwersytecie w Legnicy, starły się dwie wielkie postacie Ziemi Złotoryjskiej: Caspar Schwenckfeld i Valentin Trozendorf, którego książę powołał na ten czas do Legnicy. Nie jest pozbawiona racji opinia, że księcia legnickiego przy Lutrze „utrzymał" głównie Trozendorf.

W tej sytuacji, C. Schwenckfeld straciwszy względy księcia oraz będąc prześladowanym przez ortodoksyjnych księży, którym nie potrafił się już dłużej przeciwstawiać, i tracąc zwolenników, zdecydował się opuścić w roku 1527 (?) Legnicę i Śląsk. Nigdy już tu nie powrócił. Osiadł najpierw w Strassburgu a następnie w Ulm, w Bawarii. Tu mieszkał w dzwonnicy kościoła, gdzie w wieku 71 lat, 10 grudnia 1561 r. zmarł. Pochowano go niezbyt godnie i prawie po kryjomu w piwnicy pewnego kupca z Ulm.

Specyficzne elementy zasad religijnych Schwenckfelda

Pierwsza faza reformacji na Śląsku nie zapowiadała rozłamu i tak dramatycznego jego przebiegu. Zasadniczy podział między fundamentalną nauką Lutra, a odłamem, reprezentowanym przez C. Schwenckfelda, zarysował się w stosunku do przyjmowania chrztu oraz sakramentu komunii. Według M. Lutra wszyscy uczestnicy mszy winni przyjmować ciało i krew Pana. Schwenckfeld uważał natomiast, że jest to błędne postawienie sprawy, gdyż w takim przypadku do komunii przystąpić mógłby nawet Judasz, który miał przecież inne cele niż duchowe. Schwenckfeld propagował dowolność w przyjmowaniu komunii. Miało to jednak takie następstwa, że niektórzy decydowali się na przyjęcie komunii dopiero na łożu śmierci. Stosunek Schwenckfelda do komunii wynikał z tego, że był on zwolennikiem tzw. *religii niewidzialnej.* Rozróżniał także pokarm *duchowy i cielesny*. W konsekwencji zdecydowanie rozróżniał *sacrum i profanum,* czyli duchowość i świeckość, kościół i państwo, doczesność i transcendentalność (tj. wykraczanie poza treść i przedmiot poznania).

Jednoznacznie różne było też stanowisko Schwenckfelda wobec zasad przyjmowania chrztu noworodków. C. Schwenckfeld powołując się na św. Jana Chrzciciela oraz Jezusa, a także praktyki pierwszych chrześcijan, był zdania, że należy chrzcić tylko dorosłych, a zatem mających pełną świadomość podjętej decyzji i czynu. Z poglądów C. Schwenckfelda niedwuznacznie wynika, że był on przeciwnikiem religii państwowej, a taką jego zdaniem sankcjonował pokój augsburski z roku 1555, wprowadzając zasadę: *cuius regio, euis religio* (czyja władza, tego religia). Zdaniem Schwenckfelda nie miało to nic wspólnego z *wolnością chrześcijańską ,* a było raczej przykładem *przymusu sumienia.* Według koncepcji Schwenckfelda, kościół to dobrowolny związek wierzących bez żadnej aksjologii (kryteria wartości) i w żadnym kontekście nie powiązany z porządkiem świeckim.

Z perspektywy wieków i lat okazuje się, że obecnie najbliżsi ideowo i doktrynalnie Schwenckfeldowi są holenderscy menonici, którzy pierwsi formalnie uznali rolę kobiet jako pastorów pośród kościołów zreformowanych. Można więc z pewną dozą wątpliwości założyć, że Schwenckfelda można uznać za prekursora pastorowania kobiet. Z takim samym założeniem można zasugerować, że w jakimś sensie był praprekursorem współczesnych zasad ekumenizmu. Upoważnia do takiej sugestii fakt, że w sytuacji kiedy wybuchł ostry spór wokół przyjmowania sakramentu komunii oraz chrztu Schwenckfeld sam zaproponował (1527?) coś w rodzaju zawieszenia broni i przesunięcie rozwiązania tego problemu do chwili, aż kościoły znowu się zjednoczą (a jest to przecież jedna z naczelnych zasad ekumenizmu). Owo proponowane zawieszenie broni miało zdaniem Schwenckfelda polegać na osiągnięciu stanu *wewnętrznej komunii* oraz *wewnętrznego chrztu* – bez eksponowania oraz demonstrowania zewnętrznych oznak i symboli.

Jednakże współcześni C. Schwenckfeldowi byli wobec niego bezlitośni i atakowali jego poglądy w sposób obelżywy i brutalny. Nie brakowało stwierdzeń, w których nazwano Schwenckfelda śmierdzącym plugastwem *(stinkender Unflat)* lub smrodliwym polem *(Stänkfeld)*. Za łagodniejsze można już uznać takie, w których sugerowano, że w osobie Schwenckfelda szatan w sposób mistrzowski pomieścił wszystkie najgorsze cechy ludzkie – traktowano go jako szatana.

Caspar Schwenckfeld nie miał wystarczającego wykształcenia, ażeby swoje przemyślenia ująć w znaczący i jednolity system filozoficzny. W ten sposób nie mógł zaistnieć bardziej konkretnie i tym samym powiększył grono mistyków i marzycieli.

Twardocice (Harpersdorf)

Zwolennicy Caspara Schwenckfelda osiedlili się przede wszystkim na obszarze między Grodźcem a Ostrzycą. Znajdziemy ich przede wszystkim w takich miejscowościach jak: Twardocice (Harpersdorf), Proboszczów (Probsthain), Sobota (Zobten), Czaple (Hockenau), Rochów (Armenruh), Dłużec (Langneundorf), Lauterseiffen (Bielanka). Ci zwolennicy C.Schwenckfelda, wyznawali niezwykle surowe zasady wychowania. Byli uczciwymi i posłusznymi władzom zwierzchnim obywatelami. Nie uznawali ani gospód ani tańców. W niedzielę czytali głównie Biblię. Byli solidnymi gospodarzami, kupcami, handlarzami lub sukiennikami. Wielu z nich zaliczało się do grona ludzi zamożnych, czego nie można jednak było zauważyć np. po ubiorach, ponieważ zupełnie nie przywiązywali wagi do mody. Ich „staroświeckość" w tym względzie czyniła ich łatwym celem dla kpiarzy i szyderców. Swoim niekonwencjonalnym zachowaniem sprowadzali na siebie gniew nie tylko ze strony władców, lecz także miejscowych pastorów. Bo jakże mieli ich księża i pastorzy akceptować i tolerować skoro np. w roku 1554 w Wigilię Bożego Narodzenia Schwenckfeldianie uczcili biegiem do Soboty, a 10 lat później podobny bieg zorganizowali na Ostrzycę! Nie pomogła perswazja, kary pieniężne, misje. Pozostali przy swoim, ściągając na siebie pasmo prześladowań. Cesarz Austrii, Karol VI wysłał do Twardocic dwóch misjonarzy jezuitów. W odpowiedzi na ich działalność około 70 Schwenckfeldian powróciło do protestantyzmu. To z kolei spowodowało, iż pastor musiał zapłacić wysoką grzywnę, a pastorom z Twardocic i Nowej Wsi Grodziskiej wydano surowy zakaz zabraniający w przyszłości przyjmowania do ich grona Schwenckfeldian. Zwolenników Schwenckfelda z Twardocic zmuszano do chodzenia na nauki jezuickie. Za nieobecności groziła kara grzywny a dla recydywistów - więzienia. Śluby można było zawiązywać tylko w obecności księdza katolickiego. Pozostających w konkubinacie zmuszano do zawarcia ślubu katolickiego. Noworodki trzeba było natychmiast zgłaszać do któregoś z jezuitów. Zaniedbania w tym względzie groziły sankcjami.

Ofiary tych prześladowań oraz zmarłych można było grzebać wyłącznie bez rozgłosu, prawie w nocy i nie na cmentarzu. W Twardocicach jest takie miejsce, 500 m za wsią i tutaj przy tzw. „bydlęcej drodze" (Viehweg) chowano zmarłych. Nieboszczyków po kryjomu i bez rozgłosu wywożono na taczkach bez osób towarzyszących i tragarzy. W latach 1720-1740 pochowano przy tej drodze setki zmarłych. Ta dyskryminacja Schwenckfeldian spowodowała, że zwrócili się z prośbą do cesarza, ażeby zezwolił im na pochówek na cmentarzu protestanckim przynajmniej dzieci do dwunastu lat - chociaż także bez rozgłosu i osób towarzyszących. Kary wobec Schwenckfeldystów były liczne, gdyż posądzano ich o wszystkie nieszczęścia, jakie się wówczas w okolicy wydarzyły, np. o pożar w mieszkaniu księdza w dniu 1 października 1726. I chociaż Schwenckfeldian należy zaliczyć do pacyfistów, którzy nie używali siły fizycznej w stosunkach międzyludzkich, to zdarzył się przypadek, że napadli oni na księdza katolickiego. Sprawcom udało się uciec, lecz miejscowi musieli za to odpokutować. Nie ulega wątpliwości, że taki stan rzeczy, graniczący z bezprawiem, Schwenckfeldyści uznali za niezwykle uciążliwy i krzywdzący dla nich. Nie byli w stanie ani stawiać oporu, ani też dalej wytrwać w tej sytuacji. Zadecydowali więc, że opuszczą Śląsk i udadzą się za ocean – do Ameryki i tam osiedli w Pensylwanii. Nastąpiło to na przełomie 1737-1738 i praktycznie było to wygnanie ich przez katolickiego cesarza austriackiego. Z perspektywy czasu można dzisiaj uznać, iż zabrakło im zaledwie trzech lub czterech lat, gdyż w latach 1740-1742 król pruski Fryderyk II odebrał Austrii Śląsk. I być może ten władca, wyznający zasady tolerancji (a przynajmniej kreujący się na takiego) ulżyłby doli Schwenckfeldian.

Zmarłym w sposób naturalny oraz ofiarom ich potomkowie żyjący w USA postawili, w miejscu tego niezwykłego cmentarza, w roku 1863 pomnik, który ocalał. Na pomniku umieszczono napis w języku niemieckim o następującym brzmieniu:

Hier ruhen in Got die glaubenstreuen Schwenckfelder, welche in den Jahren 1720-40 auf diesem Viehwege beerdigt wurden. Die Liebe der Nachkommen in Nord – Amerika setzte den Voreltern zu Probsthayn, Harpersdorf, Langenneundorf u. Lauterseifen dieses Denkmal
1863

Tu spoczywają w Bogu wierni wierze Schwenckfeldianie, którzy w latach 1720-40 na tej drodze bydlęcej zostali pochowani. Miłość następców w Ameryce Północnej spowodowała wystawienie przodkom, z Proboszczowa, Twardocic, Dłużca i Bielanki ten pomnik
1863

Przez długie lata pomnikiem tym opiekowała się mieszkanka Twardocic – Saturnina Fedorowicz a od 6 lat mieszkaniec Pielgrzymki Günter Leiser. Pomnik odnowiono staraniem Schwenckfeldian z Pensylwanii oraz przy pomocy Urzędu Gminy w Pielgrzymce, miejscowego sołtysa, Towarzystwa Przyjaciół Gminy Pielgrzymka oraz Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej w roku 2002. Nowym elementem odnowionego pomnika są dwie tablice obok pomnika, z których jedna w języku polskim, druga – angielskim, zawiera tłumaczenie tekstu niemieckiego umieszczonego na cokole.

The Schwenkfelder Church

Zwolennicy Caspara Schwenckfelda opuścili Śląsk pod koniec czwartego dziesięciolecia XVIII wieku. I tego okresu sięgają początki Kościoła Schwenckfeldian w USA, gdyż tuż po przybyciu do Pensylwanii w ich gronie odbywały się rozliczne rozmowy i dyskusje na ten temat. Ale do roku 1782 żadna instytucja kościelna się nie ukształtowała; stworzono jednak system szkolny. W roku 1782 zostało założone Towarzystwo Przyjaciół, które wiosną 1783 przyjęło nazwę Towarzystwa Schwenckfeldian i jako takie zostało uznane przez władze Pensylwanii w roku 1909 jako Denominacja. W latach trzydziestych i czterdziestych XX w. każda gmina została uznana jako odrębna jednostka. Dzisiaj funkcjonuje sześć gmin – za pierwszą uznaje się Kościół Schwenckfeldystów w Filadelfii. W odniesieniu do konfliktowego problemu chrztu i komunii Schwenckfeldianie, którzy w latach trzydziestych XVIII wieku przybyli do Pensylwanii, utrzymali tzw. zawieszenie broni zaproponowane niegdyś przez C. Schwenckfelda. Od tego czasu wiele się zmieniło i ukazały się dokumenty mówiące o zewnętrznych symbolach tych sakramentów, lecz nie ma żadnych dowodów, że te przepisane porządki są dotrzymywane. Komunia jest zalecana, ale sposób realizacji zależy od gminy. Także sposób chrztu jest miejscowo regulowany. Funkcjonuje tzw. *pobłogosławienie* i chrzest; zależy to od życzenia rodziców. W każdej gminie chrzest dzieci lub dorosłych praktykowany jest inaczej. Można zatem pokusić się o stwierdzenie, że chrzest i komunia – choć na różny sposób – są dzisiaj przez Schwenckfeldian praktykowane.

Pierwszy nowoczesny kościół zbudowano w roku 1898 – był to *First Schwenkfelder Church of Philadelphia*.

Współcześni Schwenckfeldianie

Z dzisiejszymi Schwenckfeldianami – panią Heebner (wcześniej Hübner?) – Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej nawiązało kontakt pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX w. Od tego czasu, a więc ok. 10 lat, kontakt ten trwa nadal. Zza oceanu otrzymujemy systematycznie czasopisma w języku angielskim, które wzbogacają nasze zbiory i są często wykorzystywane.

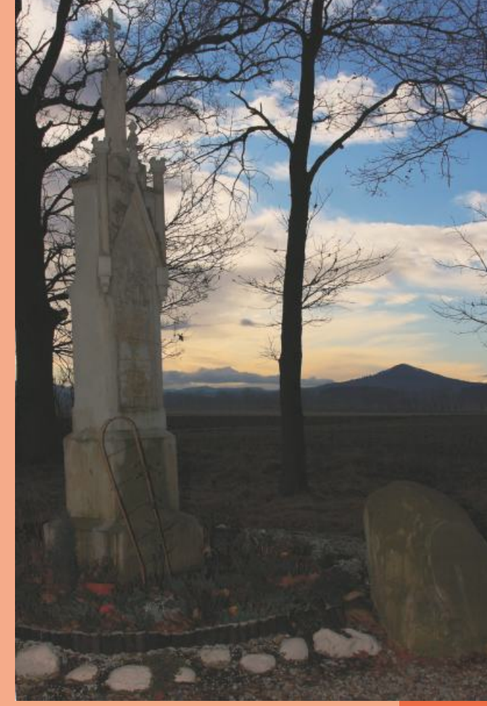

Zaangażowaliśmy się w pomoc, w trakcie odnowy pomnika w Twardocicach
Uczestniczyliśmy w licznej grupie w uroczystości odsłonięcia odnowionego pomnika (sierpień 2002). Prezes TMZZ, Aleksander Borys, zabierał wówczas głos i stwierdził m.in.: „ Mówi się nie bez racji, że <historia jest nauczycielką życia>. Jeśli zatem z historii(…) mają dla współczesności i dla nas wszystkich tu obecnych, wynikać jakieś nauki, to jedną z nich byłoby uprzytomnienie sobie, że wojny, nienawiść, nietolerancja – nigdy nie są i nie mogą być metodą na rozwiązywanie problemów" - słowa te są nadal aktualne. W październiku 2007 Schwenckfeldianie przez kilka dni w grupie 30. osób zwiedzali naszą Ziemię Złotoryjską, która jest także ziemią ich przodków. Zatracili zupełnie język ojczysty (niemiecki) – porozumiewać się z nimi można wyłącznie w języku angielskim. Zwiedzili m.in. Twardocice, Osiek, Grodziec oraz Złotoryję. Pokazując im piękno naszych okolic i dorobek współczesności, staraliśmy się nie tylko kurtuazyjnie podkreślać, że oni także są częścią historii tej ziemi. Nie zapomnieli o tych słowach – dał tego dowód obecny szef Schwenckfeldian, David W. Luz, który w liście do nas pisze m. in.: *„ Czego żałuję, to tego, że nie mogę spędzić więcej czasu w Złotoryi (...) Pobyt w Polsce, chociaż krótki, sprawił nam wiele radości. Spotkaliśmy tu wielu przyjaznych nam ludzi, którzy sprawili, że czuliśmy się jak w domu. Jesteśmy zachwyceni, że nasza historia jest traktowana jako część waszej długiej historii a my z radością będziemy zachęcać do podtrzymywania tej idei tak, żebyśmy czuli, iż Złotoryja jest również częścią naszej historii, mimo że dzieli nas Ocean Atlantycki (...) ".*

Powyższy szkic powstał w bardzo szybkim czasie z uwagi na określone potrzeby. Oparłem się na następujących autorach i opracowaniach:
G.Eberlein, M.P. Fleischer, R. S. Czarnecki, Goldberg – Haynauer – Heimat – Nachrichten, The Schwenckfeldian, materiały z sympozjum w Berthelsdorf, opracowaniach i materiałach własnych.

Alfred Michler

Zamkowe dylematy

Wedle starej legendy w Jerzmanicach Zdroju, konkretnie na Kruczych Skałach, oraz na Wilczej Górze, znajdowały się w zamierzchłych czasach potężne zamczyska. Stały się one niestety siedzibami rycerzy-zbójników, których musiała spotkać zasłużona kara. Warownie rozsypały się więc w proch, czemu towarzyszyły grzmoty, błyskawice i trzęsienia ziemi.

Legenda ta jest stosunkowo popularna, wspominają o niej przewodnicy i wydawnictwa. Do mniej znanych należy opowieść o „Siedmiu śpiących braciach", wedle której w 1241 r. Tatarzy, gdy podobno dotarli do Złotoryi, złupili najpierw tutejszy zamek a następnie zamurowali w wieży kościoła Mariackiego owych siedem osób, które cudownie ocalały. Inna z legend, starająca się wyjaśnić okoliczności oślepienia i wygnania w 1145 r. komesa Piotra Włostowica (miał zdradzać żonę), lokalizuje jeden z jego zamków właśnie w Złotoryi. Stąd wyprawiał się Piotr na polowania w obfitujące w zwierzynę lasy nad Kaczawą. Właśnie w naszym zamku miał następnie zostać pochwycony przez ludzi księcia Władysława Wygnańca.

Być może tego rodzaju opowieści spowodowały powstanie w XVIII wieku rękopisu pod znamiennym tytułem *Wiadomości o budowie i zniszczeniu złotoryjskiego zamku*. Przytaczają go XIX-wieczni tutejsi kronikarze, ponieważ jego treść rzeczywiście jest szokująca. Zdaniem anonimowego autora zamek powstał już w III wieku naszej ery a w XII wieku jego komendantem był Heinrich von Ransonitz. Podobno występował on zdecydowanie przeciwko rabusiom, lecz został otruty przez swojego sługę. Następnie zamek zamieszkiwać mieli templariusze, rujnować Tatarzy i husyci, w XVI i XVII wieku niszczyć pożary. W XVIII wieku, wedle rękopisu, resztki zamkowych budowli zużytkowano przy przebudowie murów miejskich.

W 1339 r., w dokumencie księcia legnickiego Bolesława III Szczodrego wymieniono wśród jego posiadłości „zamek i miasto Goltperg" – to już nie jest legenda a fakt historyczny. W XVIII wieku, na jednej z najstarszych rycin przedstawiających miasto, autorstwa Friedricha Bernarda Wernera, widnieją przed bramą miejską u wylotu ul. Solnej, dwie budowle, z których jedna przypomina pałac. Niemiecki historyk Kurt Bimler a latach 40. XX w. przypuszczał, że zamek stanął przed połową XIV wieku i miał wpływ na przebieg sąsiadującego z nim odcinka murów miejskich. Wyznaczona przez badacza linia obwarowań, w kształcie dość regularnej elipsy, jest w tym miejscu wyraźnie spłaszczona. Wszystkim poza tym wiadomo, iż teren, gdzie stoi gmach LO, zwany jest od „niepamiętnych" czasów Górą Zamkową. Właśnie tutaj w 1725 r., gdy wznoszono wieżę ciśnień (jeszcze stoi!), odkopano resztki niewielkiego kamiennego sklepienia.

Czy po tych wszystkich argumentach wypada jeszcze mieć wątpliwości? Przecież nawet w legendzie podobno znajduje się odrobina prawdy.

Niestety, problem nie jest taki prosty. Pobytu templariuszy i Tatarów w mieście nie potwierdza żadne źródło historyczne. Manuskrypt z XVIII wieku dyskwalifikuje zawarta w nim wiadomość, że Złotoryja powstała dokładnie w 307 roku naszej ery. „Zamek" nie pojawił się w żadnym innym dokumencie, oprócz 1339 r. W innych wykazach posiadłości księcia Bolesława wymienia się tylko „miasto". Sklepienie z 1725 r. nie musiało być fragmentem podziemi zamkowych, a np. jakiejś większej piwnicy. Gdy w latach 1870–1875 stawiano na Górze Zamkowej ogromny gmach szkolny, a także w 1976 r., podczas budowy sal sportowych, nie odkryto żadnych śladów murów czy fundamentów.

Najtrudniej ustosunkować się do ryciny Wernera, którą autor nazwał „starym widokiem", oraz do wyników badań Bimlera. Tutaj należy oczekiwać pomocy archeologów, lecz ich wizyta jest mało prawdopodobna, z powodu zbyt skąpych dowodów na istnienie zamku czy innej średniowiecznej budowli w tym miejscu.. Tradycyjna nazwa – Góra Zamkowa – nie musi automatycznie oznaczać istnienia zamku. Można np. sądzić, że dawni złotoryjanie wywiozkowali po prostu, zresztą słusznie, iż ten obszar byłby dla niego najdogodniejszy: strome zbocze nad Kaczawą, niewielka odległość od centrum miasta itd..

Gdyby komuś było żal, że w Złotoryi nie ma dzisiaj śladów zamku a budynek w centrum Rynku nie przypomina wyglądem ratusza, to niech pamięta, że na szczęście możemy szczycić się innymi wspaniałymi zabytkami, reprezentującymi na przykład architekturę sakralną.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Na Rynku w I połowie XIX wieku

Centralny plac naszego miasta wielokrotnie zmieniał swoje oblicze, chociaż jego wielkość pozostaje właściwie niezmieniona od początku XIII wieku. Średniowieczne drewniane i murowane kamieniczki ustąpiły potem miejsca, głównie w XVI i XVII wieku, okazalszym budynkom. Kilkakrotnie przebudowywany był ratusz. Niektóre z renesansowych i barokowych kamienic stoją w Rynku do dzisiaj. Do 1945 r. posługiwano się określeniem Rynek Górny i Dolny, co ułatwiało orientację.

Najstarsze widoki miasta pochodzą z XVIII wieku, w następnych stuleciach powstało ich wiele. Ukazywano na nich nie tylko stan aktualny, ale niekiedy miały charakter retrospektywny.

Taką sytuację prezentuje nasza widokówka. Wydała ją znana oficyna L. Wildego w 1911r. z okazji 700-lecia nadania praw miejskich Złotoryi. Ukazało się wówczas co najmniej kilkanaście okolicznościowych widokówek.

Obrazek, z pewnością wykonany przez zdolnego rysownika, ukazuje Rynek Dolny w I połowie XIX wieku. Oczywiście nie było jeszcze Fontanny Górników (1942) ani siedmiu lip, według legendy posadzonych przez ocalałych z zarazy w 1553 r. W centrum widzimy budynek warty miejskiej wzniesiony jeszcze w 1777 r. Od 1839 r. przeniesiono tutaj wagę miejską, lecz już kilka lat później (przed 1847) siedzibę warty i wagi rozebrano. Inaczej niż dzisiaj wyglądało w tym czasie przedproże pierzei północnej Rynku. Od początku jednak było wyniesione ponad poziom całego placu. U wylotu ulicy Solnej rozpoznajemy jedną z istniejących XVIII-wiecznych kamienic, druga spłonęła po 1945 r.

Tego typu widokówki wspaniale upowszechniały wiedzę o historii Złotoryi, pobudzały wyobraźnię i były ciekawą pomocą na szkolnych lekcjach. Warto również obecnie pomyśleć o takich wydawnictwach, nie tylko z okazji 800-lecia powstania naszego miasta.

Roman Gorzkowski

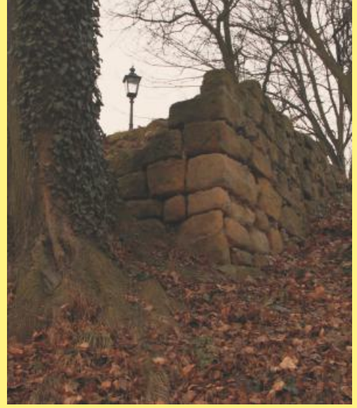

Świadek koronny

W 2006 r. zostały gruntownie odrestaurowane złotoryjskie mury obronne. Nie tylko odnowiono istniejące ich fragmenty, ale – co się jeszcze w powojennej historii miasta nie zdarzyło – wzniesiono przy al. Miłej od podstaw kilkudziesięciometrowy odcinek obwarowań. Całe przedsięwzięcie to bez wątpienia wielka zasługa władz miasta, wspomagających od lat renowację między innymi naszych zabytków sakralnych. W 2007 r. obok tablicy, upamiętniającej renowację murów w latach 1966-1967 (róg ul. M. Konopnickiej i S. Staszica), umieszczono dla potomności drugą, poświęconą pracom w 2006 r. Zgodnie z założeniami inwestycyjnymi dotyczyły one zachowanych fragmentów muru wewnętrznego.

Średniowieczne mury obronne są jedną z historycznych i turystycznych atrakcji naszego miasta. Otoczyły je w XIV wieku i mniej więcej przez cztery stulecia spełniały, raz lepiej, raz gorzej, swoją rolę. Takie po prostu były czasy, że znaczniejszym miastom, do których niewątpliwie zaliczała się Złotoryja, wypadało mieć obwarowania. Nic nie szkodzi, że nie obroniły nas ani podczas najazdów husytów w XIV wieku ani w czasach wyniszczającej wojny trzydziestoletniej (1618–1648). Do XVI stulecia usiłowano je co jakiś czas remontować i przebudowywać, czego świadectwem są trzy strzelnice kluczowe z datą 1541, wmurowane przy ul. S. Staszica. Od XVII wieku traciły stopniowo na znaczeniu i częściowo się niszczyły. Znacznie ucierpiały w 1813 r., gdy podczas zdobywania miasta przez wojska napoleońskie spłonął bezpowrotnie hełm Baszty Kowalskiej. Mniej więcej od 1822 r. umocnienia i bramy stopniowo rozbierano, ponieważ nie spełniały już swego zadania, przeszkadzały komunalnym inwestycjom i ruchowi miejskiemu. Aż doczekaliśmy się stanu obecnego.

Przy ul. S. Staszica oraz przy budynku Muzeum Złota przetrwały do dzisiaj nieduże odcinki zewnętrznych obwarowań. Dzięki nim lepiej można sobie wyobrazić, jak niegdyś ufortyfikowane było nasze miasto, a także przebieg i rozmiary międzymurza. Wokół murów obronnych biegła jeszcze fosa, zasypywana sukcesywnie w XIX wieku. Na jej obszarze urządzono m.in. planty i wzniesiono budynek poczty.

Na szczęście przy ul. Staszica zachował się około stumetrowy fragment miejskiej fosy. Widocznie tutaj nikomu nie przeszkadzała. Właśnie tu można dostrzec niewielką i bardzo zniszczoną część zewnętrznego muru obronnego. Rośnie przy nim wysokie drzewo, które korzeniami najprawdopodobniej rozsadza zabytek. Do fosy spadają co jakiś czas kolejne piaskowcowe kamienie. Wymieniona konstrukcja do tej pory również nikomu nie zawadzała, choć nie wiadomo, kiedy była restaurowana.

Ostatnia renowacja nie dotyczyła zewnętrznej korony murów. Z jednej strony można to zrozumieć – po pierwsze: odrestaurowano niewątpliwie najcenniejsze odcinki obwarowań, po drugie: prace przy murach zewnętrznych wymagałyby wycięcia pewnej ilości drzewostanu, co pociągnęłoby dodatkowe koszty. Z drugiej strony, nie wszędzie dostępu do nich bronią drzewa a poza tym też chodzi przecież o architekturę tego samego typu. Trzeba dodać, że odcinek muru wewnętrznego przy Muzeum Złota przeszedł już restaurację.

Wszystkie ocalałe części murów obronnych winny być oczkiem w głowie władz miejskich, całej społeczności lokalnej oraz konserwatora zabytków. Nie można dopuścić do ich zniknięcia – nie zawadzają, wręcz przeciwnie, przydają miastu atrakcji i popularności. To swoiści świadkowie koronni a takich otacza się wyłącznie ochroną. Nasi świadkowie historii ani nie mogą sami się obronić ani poprosić o opiekę. Nic nas nie usprawiedliwi, gdy w XXI wieku zlekceważymy „szczegóły". Nasze podejście do rzeczy małych świadczy o traktowaniu wielkich.

Dlatego z całą mocą upominamy się o renowację pozostałych części miejskich obwarowań. Jeśli nie ma teraz możliwości, aby całkowicie je odnowić, to warto jak najszybciej zająć się opisanym fragmentem nad fosą. Póki jeszcze istnieje. Zamiast planować jego rozbiórkę, trzeba rozważyć warianty jego rekonstrukcji. Może obejdzie się bez usunięcia wspomnianego drzewa? Fachowcy wykonywali przecież o wiele bardziej skomplikowane i kosztowniejsze przedsięwzięcia.

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

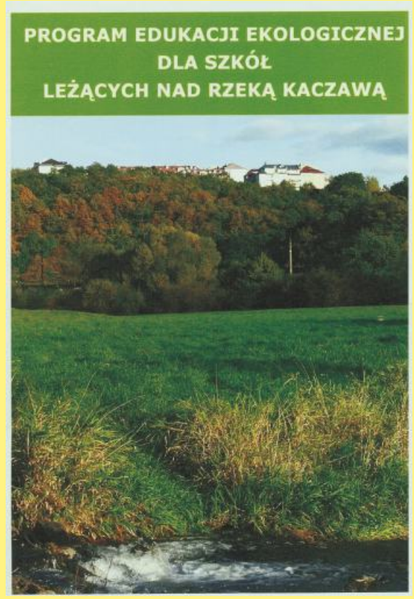

Tylko pozornie wydaje się, iż polecana dzisiaj publikacja przeznaczona jest jedynie dla nauczycieli geografii bądź przyrody. Naszym zdaniem winna zainteresować szerokie grono krajoznawców z wielu miejscowości powiatu.

Autorzy programu edukacji ekologicznej dla szkół leżących nad Kaczawą, Damian Komada i Anna Wojtkowiak z Gimnazjum nr 2 w Złotoryi, bez trudności uzasadniają potrzebę takich działań, podkreślając, że program ułatwia szkołom opracowanie własnych projektów edukacyjnych a zarazem wychowawczych.

Ponad dwadzieścia zaproponowanych tematów lekcji, łącznie z konkursami, sesją naukową a nawet zawodami sportowymi, wymaga wielu zajęć terenowych, pracy z komputerem oraz badań laboratoryjnych. Zagadnienia zostały skorelowane z treściami nauczania biologii, geografii, chemii, fizyki, informatyki, historii, języka polskiego, plastyki i techniki, ale do współpracy zachęca się także nauczycieli matematyki, muzyki oraz religii. Wybrane zagadnienia były już realizowane przez uczniów szkół w Świerzawie, Nowym Kościele, Jerzmanicach Zdroju, Rokitnicy i Złotoryi.

W publikacji znalazły miejsce konspekty, karty pracy, karty obserwacji oraz wykaz niezbędnej literatury.

Teraz pora na udział w programie kolejnych szkół Ziemi Złotoryjskiej. Na wyniki ich badań, a przede wszystkim- umiłowanie nie tylko naszej małej ojczyzny wszyscy czekamy!

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Prezentowane tym razem zdjęcie ukazuje fragment złotoryjskiej Starówki. Zostało wykonane kilkadziesiąt lat temu, tuż przed jej przebudową. Niech ułatwieniem odpowiedzi na pytania, o jaką część miasta chodzi, i kiedy miały miejsce wspomniane prace budowlane, będzie informacja, że widocznych na fotografii kamieniczek całkowicie nie rozebrano, pozostawiając takie fragmenty, które z pewnością pomogą w identyfikacji.

Roman Gorzkowski

KRONIKI ZŁOTORYJSKIE

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

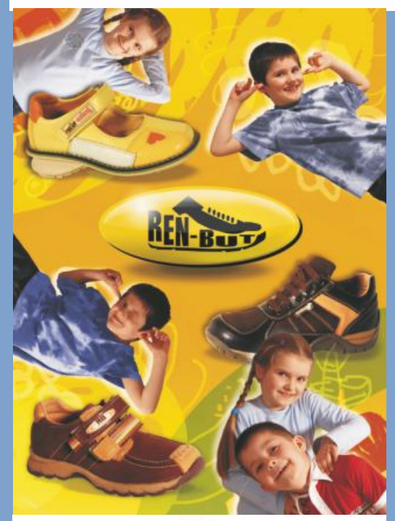

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

grysy bazaltowe
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

STONESPOL

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA

Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA